Nr. 21. Warszawa, dnia 27 (15) Maja 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2. k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

WYBUCH CZESKI.

Staroczesi, zawierając z niemcami swoją osławioną ugodę wiedeńską w r. 1890, mogli się spodziewać wszystkiego, tylko nie tych następstw, jakie ona wywołała. Rieger i jego towarzysze mogą być ludźmi krótkowzrocznymi, ale nikt im nie odmówi patryotyzmu. Podpisując więc ów kontrakt zgody, wierzyli, że wyświadczają swej ojczyznie wielką usługę, że ją obdarzają niezmiernie cennem dobrodziejstwem, które w późniejszych układach może być powiększone lub zmniejszone, ale w zasadzie powitane będzie przez naród radośnie. I oto wkrótce przekonali się o strasznej swojej omyłce, omyłce tak olbrzymiej, jakiej chyba nigdy jeszcze nie popełnili wytrawni politycy. Przewódcy młodoczechów, dostrzegłszy bystrem okiem słabe strony ugody wiedeńskiej i odczuwszy instynktownie nastrój większości narodu, uderzyli na alarm, powołali wszystkich rodaków do oporu i dzięki temu śmiałemu wystąpieniu niemal w ciągu jednej doby z drobnej i bezsilnej, a często nawet ośmieszanej garstki stali się stronnictwem potężnem i wpływowem. Wszechwładni dotąd ich przeciwnicy, staroczesi, tak szybko zaczęli tracić uznanie i oporę w społeczeństwie, że gdy nadeszły nowe wybory, ledwie zdołali uratować drobną część swego licznego zastępu. Młodoczesi pobili ich na całej linii, zdyskredytowali i sponiewierali. Była chwila, że zwyciężeni, którzy nie zginęli, chcieli dobrowolnie i zupełnie usunąć się z areny politycznej. Natomiast drużyna Gregra nie myślała wcale poprzestać na tym tryumfie i postanowiła wyzyskiwać dalej błąd staroczechów. Ugoda wiedeńska stała się dla nich gruntem, na którym ciągle wznawiali walkę. Dopomógł im do tego jej twórca, hr. Taaffe, swoją taktyką mydłkowania i nieszczerości. Jakkolwiek bowiem zrzekł się jawnie zamiaru wprowadzenia w życie umowy, skrycie starał się urzeczywistnić rozmaite jej punkty. Naturalnie to dostarczało ciągle młodoczechom materyału agiagitacyjnego i powodów do ostrych napaści na rząd i niemców. Nie będziemy tu przypominali wszystkich starć, które przeciągnęły się długim łańcuchem przez trzy ostatnie lata; zaznaczymy tylko, że każde z nich było nowym szczeblem wznoszenia się młodoczechów i każde zakończyło się ich tryumfem. Częścią te powodzenia, a częścią rozjątrzone walką namiętności sprawiły, że sejm czeski stał się d. 17 maja widownią wyjątkowego skandalu.

I tym razem wybuchnął on z ugody wiedeńskiej. Wykonywając—jak rzekliśmy—niektóre jej uchwały, rząd wniósł do sejmu projekt ustanowienia w Trutnowie niemieckiego sądu okręgowego. Młodoczesi, którzy nie dopuszczają żadnego rozgraniczenia sądowo-administracyjnego ludności czeskiej od niemieckiej i nie odstępują od zasady, że cały kraj jest niepodzielną własnością ich narodu, przysięgli sobie wszelkimi środkami odeprzeć ten zamach. Gdy więc nadszedł dzień obrad sejmowych, zażądali od marszałka, ażeby usunął ów projekt z porządku dziennego. Większość, złożona z niemców i arystokracyi (feodałów) sprzeciwiła się temu; wtedy oni zaczęli tupać, krzyczeć i nie dopuszczać nikogo do głosu. Gdy wreszcie marszałek kazał zbliżyć się stenografom, ażeby mogli słyszeć i spisywać słowa sprawozdawcy, młodoczesi zaczęli wyrywać i rozbijać szuflady, rzucać kałamarzami, a gdy to nie poskutkowało, przyskoczyli do stołu prezydyalnego, wydarli papiery stenografom, podarli je i obsypali nimi marszałka. Wobec tego skandalu dalsze obrady były niemożliwe—to też je zawieszono. Nazajutrz rozkazem cesarskim sejm czeski został zamknięty.

Awantura ta, chociaż wysoce gorsząca, należy wyłącznie do etyki parlamentarnej i sama przez się nie stanowi ważnego wypadku politycznego. Zresztą mniej lub więcej wymyślają sobie i wygrażają pięściami przedstawiciele narodu w Peszcie, Paryżu, Rzymie, opinia przeto publiczna oswoiła się z takimi wypadkami. Jądro rzeczy tkwi w pytaniu: cóż dalej? Czy rząd ponowi swój projekt rządu w Trutnowie, czy też steroryzowany ustąpi młodoczechom? Niezbadane są wyroki hr. Taaffego. Możnaby przewidzieć, co zrobi człowiek z jasnym programem, konsekwentnem dążeniem i silną wolą, ale nikt nie przewidzi, jakie wyjście z kłopotliwego położenia znajdzie człowiek, który pragnie i usiłuje być najprzebieglejszym lisem. Nie przeczymy, że metoda lisia jest w pewnych wypadkach bardzo praktyczną i najszybciej wiedzie do celu, ale zdaje nam się, że do rozwiązania zatargu czeskiego w tej postaci, jaką on obecnie przybrał i w walce z tymi przeciwnikami, którzy go podtrzymują, ona nie wystarcza, przeciwnie, coraz bardziej powiększa grozę sytuacyi. Młodoczesi domagają się wyraźnie przywrócenia ich narodowi praw historycznych, wskrzeszenia królestwa czeskiego i nadania mu tej samoistności, jaką posiadają Węgry. Żądań tych nie zrzekną się oni za cenę umizgów, zdawkowych łask i drobnych podarków, a hr. Taaffe tylko do tego jest zdolny. Nie jest on ani wielką sprawiedliwością, ani wielką siłą, nie umie ani zadowolić słusznych pretensyj, ani stłumić ich gwałtem, mniemając, że wszelkie spory dadzą się załatwić zapomocą świeczki i ożoga, zapomocą pospiesznego zszywania i łatania poszarpanych stosunków. Dobre było to krawiectwo, dopóki czechom przewodniczył Rygier i wogóle ludzie miękkiej natury, nasiąkłej wpływami dworu i gabinetów ministeryalnych; dziś jednak, gdy ich miejsce zajęli Gregrowie, trzeba albo im uledz, albo ich pokonać. Przypuszczamy też, że burza, która się sroży w Czechach, prędzej czy później zdruzgocze hr. Taaffe-

go, który nie umie jej ani zażegnać, ani okiełznać. Stanowczo nie dorósł on do wielkości swojego zadania i trudności położenia.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Chodzi pogłoska, że cesarz niemiecki chciał zapomocą odezwy do narodu wpłynąć na wybory, ale po własnym namyśle, czy też wskutek rad cudzych od zamiaru tego odstąpił. Znając pochopność Wilhelma II do przemówień publicznych — w których nie zawsze okazuje należytą ogledność, przypuszczać można, że istotnie miał taki zamiar — niekonstytucyjny i niebezpieczny dla jego ustawy wojskowej. Prawie bowiem trudno wątpić, że wyrwałyby mu się z ust nieopatrzne słowa, które przeciwnicy pochwyciliby w lot i wyzyskali przeciw projektowi pomnożenia armii. Nie zrzekł się jednak całkiem głosu, tylko zamknął go w apostrofach do generałów.

Gotujące się wybory w Niemczech nie dają podstawy żadnej wróżbie. Dotąd trwa chaos, na którego mgłach unosi się wielki znak zapytania. Jak głęboko przenika zamęt, widać już z tego niezwykłego faktu, że centrum nie ogłosiło dotychczas swej odezwy. W łonie tej partyi nurtują sprzeczne prądy, które jej nie pozwalają zgodzić się na żaden program. Nadto, pomimo najuroczystszych zaprzeczeń, jest prawie pewnem, że papież wywiera nacisk na katolików, ażeby nie sprzeciwiali się projektowi wojskowemu. Ponieważ zaś większość członków centrum objawia ku niej wstręt, a przedstawiciele Niemiec południowych zagrozili usunięciem się ze stronnictwa, gdyby ono dało swe głosy rządowi, trudno więc z takiego rozstroju ułożyć jakiś logiczny program.

Dwa odłamy postępowców, które przy rozdziale ślubowały sobie solidarność w wyborach, zapomniały zupełnie i o tem przyrzeczeniu i o dawnej łączności. Każdy z nich stawia swoich kandydatów. Czy zwycięży „partya ludowo-postępowa,“ czy „związek postępowy“? — pytanie to ma bardzo podrzędne znaczenie, gdyż przewaga jednej strony nad drugą będzie w każdym razie bardzo drobna, a dokonany rozbrat osłabi je niechybnie. Wnioskując z ostatnich doniesień, należałoby mniemać, że za Richterem pójdzie mniej zwolenników, to znaczy, w sejmie znajdzie się mniej nieprzejednanych przeciwników powiększenia siły zbrojnej.

W Rzymie wybuchło przesilenie ministeryalne: Izba odrzuciła żądania ministra sprawiedliwości, skutkiem czego cały gabinet podał się do dymisyi. Król jednak powierzył utworzenie nowego Giolittiemu, który ma oddać teki tym samym towarzyszom, z wyjątkiem sprawiedliwości, której kierownictwo przejdzie w inne ręce.

Ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, przyzwyczajonych do gwałtownych zajść w Węgrzech, odsłonięcie pomnika honwedów odbyło się spokojnie, chociaż bez udziału przedstawicieli rządu i wspólnej armii. Jest to wypadek tak niespodziewany, że zasługuje na zaznaczenie.

Wrzenie w Hiszpanii nie ustaje. Telegraf codziennie donosi o starciach i wojsku gotowem do tłumienia rozruchów. Ponieważ zaś stan ten trwa chronicznie, a nie wynaleziono dotąd skutecznego leku, któryby go usunął, można przeto wątpić, czy młodociany król doczeka się tronu.

Król serbski spotkał się z matką, z którą przepędził kilka dni. Powitanie miało być bardzo serdeczne, co jest bardzo naturalnem, gdyż 16-letni Aleksander, pomimo dokonanego tak energicznie zamachu stanu, pozostaje dzieckiem, któremu ciąży osamotnienie i który tęskni do matki.

Po olbrzymich wiecach przeciw bilowi irlandzkiemu, następują również olbrzymie wiece na jego korzyść. Zgromadzenia te, chociaż liczą dziesiątki i setki uczestników, nie wywierają żadnego wpływu na przebieg rozpraw parlamentarnych, które potoczą się łożyskiem wytworzonem przez stosunek stronnictw w parlamencie. Jak zaś kwestyę rozstrzygnie Izba niższa, już wiadomo.

Nikt rzetelnie i ściśle nie umiałby powiedzieć, co się dzieje w Brazylii, gdyż doniesienia stamtąd są kłamliwe, a stosunki tak powikłane, że ich nici plączą się i giną. Wiadomo tylko, że szerzy się tam rewolucya, tj. bunt pojedynczych prowincyj przeciwko rządowi centralnemu, który nie ma zabezpieczonego jutra.

BADANIA NAUKOWE.

MAŁŻEŃSTWA KREWNIACZE.

Niedawno wyszło w drugiem wydaniu znane i wielce ciekawe studyum Schieller-Tietza p. t. „Folgen, Bedeutung und Wesen der Blutsverwandschaft i Menschen- Tier- und Pflanzenleben.“ Autor rozpatruje ważną i doniosłą kwestyę krzyżowań pomiędzy krewnymi, mającą wielkie znaczenie tak pod względem społecznym, jak i gospodarczo-rolniczym, a przedewszystkiem doniosłą dla biologii.

Podczas gdy „antikonsangwiniści“ twierdzą, że połączenia krewniacze nawet zupełnie zdrowych rodziców wywołują choroby i kalectwa w potomstwie, z drugiej znów strony „konsangwiniści“ są zwolennikami małżeństw pomiędzy krewnymi i twierdzą, że związki takie są najzupełniej nieszkodliwe dla potomstwa, że zboczenia patologiczne lub usposobienia do nich występują tylko wtedy, gdy rodzice przekazują je w dziedzictwie, ale że samo połączenie dwóch osobników spokrewnionych z sobą i przytem zdrowych nie warunkuje ani objawów patologicznych, ani też skłonności do żadnych chorób. Obrońcy tego ostatniego poglądu przytaczają na swoją korzyść liczne przykłady, wykazujące, że ród ludzki mógłby się rozmnażać przez bardzo długi czas bez wszelkiej dla siebie szkody i bez śladu zwyrodnienia, pomimo ciągłych małżeństw krewniaczych. Zaznaczają oni fakty, iż u niektórych ludów związki nawet pomiędzy blizkimi nietylko nie są zabronione, lecz przeciwnie, bardzo dobrze widziane i nie wywołują bynajmniej zwyrodnienia. Wiadomo np., że starożytni peruwiańczycy poślubiali siostry i córki. Dzieci pierwszych inków wstępowały we wzajemne związki małżeńskie i przez bardzo długi czas istniało prawo książęce, na zasadzie którego inka mógł poślubiać tylko siostrę rodzoną, a to w celu zachowania czystości krwi rodu królewskiego. Według kronik, robiono to podobno w ciągu czternastu pokoleń, przyczem u ostatniego władcy rodu, Atahulpy, nie zauważono jakoby najmniejszego osłabienia duchowego lub cielesnego.

Nie ulega wątpliwości, że i starożytni persowie i egipcyanie praktykowali małżeństwa krewniacze. U tych ostatnich królowie poślubiali bardzo często siostry, np. w rodzie Ptolomeuszów. Kleopatra była córką małżeństwa pomiędzy bratem i siostrą, a wnuczką innej znów pary, złożonej również z brata i siostry, wnuczką Bereniki, która była jednocześnie siostrzenicą i siostrą swego męża.

Wszystkie powyższe dane nie popierają w zupełności zapatrywań konsangwinistów, albowiem jeśli narody wyżej wymienione nie podupadły w krótkim czasie duchowo i fizycznie pomimo małżeństw krewniaczych, nie może to jeszcze służyć za dowód nieszkodliwości tych ostatnich, dopóki nie

---

6)

RROLIS.

ŚMIESZNA DOLA.

Sylwetki.

XXVIII. O fortunie i schyłku Towarzystwa wiatraków.

W półtora roku po założeniu Towarzystwa wiatraków w gabinecie Bursztana gospodarz z hrabią wiedli nader poważną rozmowę. Najmniej przenikliwy badacz odrazu mógł zawyrokować, który z nich został obdarzony duszyczką pierwszego gatunku, a który — pośledniejszego. Jak znakomite cechy posiadał hrabia, już wiemy; przypatrzmy się panu Bursztanowi. Pulchny, walcowaty tułów, osadzony na krótkich nóżkach i ozdobiony okrągłą, dużą głową, której największą ozdobą był piętrzący się podbródek i wiecznie uśmiechnięte, okrągławe oczęta — ot i cały p. Bursztan. Patrząc nań, musiałeś przyznać, że natura robi postępy, zamiast bowiem ślęczyć jak dawniej nad rzeźbieniem postaci, dziś odlewa je raczej.

— Więc pan znajdujesz — rzekł hrabia do współbiesiadnika — że przedsięwzięcie trudno podźwignąć.

— O podźwignięciu nie może być mowy. Pytanie tylko, jak sprawcy wydostaną się z rumowisk.

— Dla Boga! — szepnął hrabia strwożony — jak się to stało? Nie rozumiem.

— Najzwyczajniej, oto są prywatne moje rachunki, przejrzmy.

P. Bursztan wyjął z biura papiery i zaczął:

— Dwadzieścia tysięcy dla przedsiębiorcy dostawy żaren prezes wziął z kasy i zawiózł je... podobno do Monaco.

Hrabia zmrużył oczy.

— Dwadzieścia tysięcy na zadatek Holy w Londynie nieszczęśliwe wyścigi zabrały.

Potomek słynnych rycerzów opuścił głowę.

— Trzydzieści tysięcy na zakupienie budulca — nie wiem gdzie są... Bursztan mrugnął znacząco.

Hrabia zarumienił się i przerwał z pośpiechem.

— Cała sprawa z baletniczką jest fałszem wierutnym, plotką; ja kocham Ewcię.

— Wierzę — rzekł Bursztan przymrużając oczy—inaczej, hrabio, nie byłbyś jej narzeczonym. Gdybym nie wierzył, musiałbym zerwać... Lecz wróćmy do rzeczy, a zobaczymy, że oprócz prawnych wydatków, siedmdziesiąt tysięcy poszło na marne, a sprawa nie posunęła się ani na jotę; akcye upadły, szmer niechęci coraz wyraźniejszy. Za kilka tygodni ogólne zebranie akcyonaryuszów: zamiast na weselne gody, żebyśmy nie trafili na ucztę do prokuratora.

Hrabia drgnął, lecz siłą woli udając spokój, rzekł:

— Pan zaradzisz, nie dopuścisz hańby.

Bursztan patrzył na współbiesiadnika, jak kot wylegający się na słońcu, to zmrużając, to znów wytrzeszczając ślepie. Okrągłe oczy duszyczki pośledniejszego gatunku sprawiały na hrabi dziwne, prawie odrażające wrażenie, a jednak patrzył w nie, z nich bowiem czerpał otuchę.

będziemy wiedzieli, w jakim stosunku liczebnym znajdowały się tam małżeństwa „konsangwiniczne“ do zwykłych; brak zakazu nie dowodzi bynajmniej rozpowszechnienia. Przeciwnie zaś, wysoki stopień rozwoju etycznego u owych ludów powodował bardzo prawdopodobnie naturalną odrazę do małżeństw tego rodzaju. A zresztą wcale jeszcze nie wiemy, czy podobne stadła w ciągu wieków nie doprawadziły właśnie do takiego stanu upadku moralnego i fizycznego, że przy pierwszem zetknięciu się z narodami o świeżych siłach, ludy te musiały im ustąpić miejsca i zatarły swój byt na kartach historyi.

Obrońcy konsangwinizmu przytaczają także często spostrzeżenia lekarza francuskiego, A. Voisina, dotyczące mieszkańców gminy Batz, na północ od ujścia Loary, na półwyspie otoczonym wysokiemi skałami; 3,300 członków tej gminy utrzymuje nadzwyczaj małe stosunki z innemi, a wskutek tego małżeństwa krewniacze są pomiędzy niemi nadzwyczaj rozpowszechnione. W r. 1864 zawarto ich 46, a mianowicie 5 pomiędzy pełnymi siostrzeńcami i siostrzenicami, 31 pomiędzy dziećmi pełnych siostrzeńców i siostrzenic, oraz 10 pomiędzy siostrzeńcami i siostrzenicami czwartego kanonicznego stopnia pokrewieństwa. Tylko dwa z tych 46 związków były bezdzietne, podczas gdy pozostałe 44 zrodziły 172 zdrowych dzieci. Byłoby atoli bardzo ciekawe stwierdzić, od jak dawna zawierano w gminie Batz takie małżeństwa. Należałoby także zbadać dzisiejsze stosunki w tej miejscowości, gdyż bardzo być może, że obecnie wystąpiły tam w całej grozie skutki długotrwałych stadeł krewniaczych, a pomimo to konsangwiniści przytaczają jeszcze ciągłe fakty z roku 1864.

Podobne wypadki, jak w gminie Batz, opisano także w kilku innych okolicach Europy — są one jednak tak nieliczne i wyjątkowe, a przytem tak nieściśle zbadane, że nie mogą służyć za stanowczy dowód nieszkodliwości konsangwinizmu.

Z drugiej atoli strony u wszystkich prawie dzikich i ucywilizowanych ludów spotykamy się z zakazem krewniaczych związków małżeńskich, tak, że wypadki, w których związki te są dozwolone, należą do rzadkości. Zachodzi więc pytanie, co wywołało ten zakaz. Różni autorowie szukają różnych przyczyn. Według jednych powodem była tu obawa, że pokrewieństwo mogłoby się stać zanadto skomplikowanem; inni twierdzą, że w braku takiego zakazu małżeństwa byłyby zawierane w zbyt młodym wieku, albo też że ludzie bezustannie łączyliby się w rodzinach dla utrzymania w całości majątku, jeszcze inni upatrują przyczynę w uczuciu „wstydu naturalnego,“ albo też odrazy naturalnej. Konsangwiniści nie przypuszczają, ażeby podstawą zakazu było przeświadczenie o szkodliwości stadeł krewniaczych. Niewątpliwie jednak u wielu dzikich lub półucywilizowanych ludów rozpowszechnione jest mniemanie, iż związki takie źle oddziaływają na potomstwo. Tak np. krajowcy z Coopers Creek w Australii południowej opowiadają, że wkrótce po stworzeniu świata żenili się z sobą siostry z braćmi i inni blizcy krewni, ale wkrótce ujawniły się złe owoce z takich par i wówczas przywódcy ludu zaczęli się z sobą naradzać, co należy uczynić. Postanowiono tedy zwrócić się o radę do wielkiego ducha Muramura. Ten rozkazał, aby naród podzielił się na pewną ilość pokoleń, któreby różniły się nazwami (zaczerpniętemi ze świata zwierzęcego, np. pokolenie lwa, myszy, emu, legwana itp.) i aby członkowie każdego nie łączyli się pomiędzy sobą, lecz mieszały się różne pokolenia (aby np. mężczyzna emu nie poślubiał dziewczyny emu, lecz aby wybierał sobie za żonę dziewicę z pokolenia legwana, lwa itp.).

Do kategoryi środków, przeciwdziałających związkom krewniaczym, należą u ludów żyjących w stanie natury dwa zwyczaje, znane pod nazwą „exogamii“ oraz „porywania kobiet.“ Mianowicie niektóre plemiona dzikie zabraniają młodzieńcom obierania sobie za żony dziewcząt tegoż pokolenia, zmuszając ich do szukania małżonek pośród obcych. Najbardziej rozpowszechniony jest ten zwyczaj u ludów Australii i Polinezyi. Stosuje się on też do indów brahmańskich, albowiem brahmanom zakazano brania żon z pokolenia tej samej nazwy, u chińczyków zaś sięga tak daleko, że język ludu podzielić można na mający pochodzenie ojcowskie i macierzyste. Inny znów zwyczaj, a mianowicie porywanie kobiet, praktykował się niegdyś na większą skalę; dowodzą tego podania o porwaniu sabinek przez rzymian, o porwaniu córek Schilos przez ludzi Benjamina itd. Zabieranie kobiet innym plemionom rozpowszechnione jest u bardzo wielu ludów, pozostających na nader niskim szczeblu cywilizacyi, u stojących zaś na nieco wyższym stopniu kultury zamieniło się na branie do niewoli; to też pewne dzikie plemiona oszczędzają w bitwach młode kobiety nieprzyjacielskie i jako łup zwycięzców uprowadzają je do swych domów. (D. n.)

Dr. H. T. Rozicki.

PIERWOTNY ANIMIZM.

Strzygi posiadają dwie dusze. — Dotychczasowe teorye animistyczne milczą o tem. — Rozpowszechnienie na globie przesądów, przyjmujących istnienie kilku dusz. — Próby wytłomaczenia przesądu.

Z pośród przesądów naszego ludu istnieje jeden szczególny, mianowicie, jakoby niektórzy ludzie posiadali dwie dusze. Takie osoby po śmierci stają się strzygoniami. Fakt ten odrazu wprowadza nas do dziedziny wierzeń, dotychczas bardzo mało zbadanych, co więcej, systematycznie pomijanych milczeniem lub kładzionych na karb przypadku, ponieważ nie pasują do kramiku utartych w nauce teoryj. A jednak, zdaje się, mamy tutaj przed sobą szczątek powszechnej niegdyś wiary. Czytelnik, który kiedykolwiek miał w ręku pierwszy tom przetłomaczonych na język polski *Zasad socyologii* Spencera, zna jego wywody w tej mierze. Socyolog angielski postawił sobie za cel wyjaśnić, czemu człowiek wszędzie uważa swoją istotę jako złożoną z dwu odrębnych całości, ciała i ducha, rozłączających się z sobą po śmierci. Jego tłomaczenie zmierza ku wykazaniu, że takie poglądy są wprost nieodzowną koniecznością dla człowieka na pewnym szczeblu rozwoju kulturalnego, kiedy usiłuje pojąć różne zjawiska życia wewnętrznego, takie, jak sny, stany letargiczne, omdlenie, wreszcie śmierć. Przeciwko tej stronie wywodów niepodobna nic nadmienić, bo w samej rzeczy człowiek pierwotny nie posiadał innego rozwiązania. Atoli o sposobie, w jaki Spencer, a za nim Lippert i tłum mniejszych popularyzatorów i kompilatorów to czynią, dużo daloby się powiedzieć. Teorya ich w zasadniczych punktach brmi jak następuje. Istota ludzka składa się z dwu części. Kiedy jedna, subtelniejsza, odłączy się od drugiej chwilowo, wtedy ukazuje się bezwładność, trwająca odpowiedni przeciąg czasu — będzie to senność, omdlenie i in., które przemijają, gdy człowiek „przyszedł do siebie,“ tj. sobowtór wrócił do opuszczonego ciała. Sny — to przygody, spotykające tego sobowtóra w tułaczce po za ciałem. Wreszcie, kiedy rozstanie następuje ostatecznie, wtedy stoimy w obliczu śmierci. Z góry nasuwa się uwaga: jednak ów pierwotny człowiek musiał być nietęgim psychologiem spostrzegaczem, skoro zmieszał ze sobą tak odmienne stany, jak sen i śmierć; wprawdzie Spencer uważa go za nader tępą głowę, ale badacze źró-

---

Naraz Bursztan parsknął wesołym, dobrodusznym śmiechem, położył rękę na ramieniu przyszłego zięcia i zawołał:

— Musimy przecież wydobyć się z matni.

Hrabiemu aż się ciepło zrobiło od tych słów. Przemysłowiec dobył cygara i gdy zapalili, rzekł:

— Była chwila, gdy wierzyłem w przedsięwzięcie, zakupiłem akcyj nie mało, chciałem być dyrektorem.

Współbiesiadnik szeroko otworzył oczy.

— Jakto? Przecie za mną głosowałeś i innych namawiałeś do tego.

— Namawiałem tych, co i beze mnie byli za hrabią, czem zjednywałem ich poniekąd dla siebie. Bezwątpienia, hrabio, miałeś najlepsze zamiary, a jednak już po miesiącu, gdym przekonał się, że rad moich nie usłuchacie, lecz na przekór popędzicie na bezdroża, rozprzedałem potroszę swe akcye.

— Wszystkie?! — zawołał hrabia zdumiony.

— Prawie wszystkie. Czegoż się dziwisz, czym nierozsądnie uczynił?

Potomek rycerzy nic nie odpowiedział.

— Powróciwszy z Londynu — ciągnął przemysłowiec — dyrektor zrozumiał, że korzystniej czynić zabiegi o córkę Bursztana.

— Dla Boga! — zawołał hrabia zrywając się — pan śmiesz sądzić!..

— Siadaj hrabio — przerwał Bursztan, uśmiechając się dobrodusznie — nic nie mam przeciwko temu, mnie się podoba mieć za zięcia hrabiego i patrzeć z góry na tych, co pogardzali mną za to, żem Bursztan, nie Radziejowski: dla dorobkiewicza czyż to nie jest ponętne? Tytuł hrabiego, gdyby się przed nim nie zginali, nie wart szeląga, lecz że u nas wszyscy na wyścigi puszą się lub płaszczą, więc wart bardzo wiele: postanowiłem uczynić mą jedynaczkę hrabiną.

— Mogliśmy nie pokochać się wzajem — mruknął Pusty.

— Nie lękałem się tego. Moja Ewunia zanadto jest wykształconą, ażeby nie mieć wysokolotnych uczuć, hrabia byłeś już prawie zakochany, zostawało jeno pytanie, ile mnie ten interes kosztować będzie? Zdecydowałem poświęcić sto tysięcy, ani grosza więcej. Na szczęście Szymonek spadł mi z nieba. Stracą akcyonaryusze, stracą przedsiębiorcy, którzy przystąpili do interesu bez kontraktu; my zaś i honor i kieszeń ocalimy.

— Szymonek, ten mały chłopak! — zawołał hrabia — cóż on tutaj znaczy?

Przemysłowiec wyjął z szuflady księgę i rzekł:

— Oto są rachunki rozchodów. Niezależnie od kasyera i bez jego wiedzy zapisywałem wydatki u siebie, więc w każdej chwili był mi wiadomy bilans; natomiast ksiąg w zarządzie nie sprawdzałem, bom wiedział, co podpisuję. Panowie zaś, wierząc mojej przezorności, a może nie mając zwyczaju ślęczyć nad rachunkami, podpisywaliście na ślepo. Wszystko to naprowadziło p. Bigulskiego na myśl, że działa bez kontroli. Z początku jednak wszystko szło dobrze, gdy wtem rozchód zaczął rosnąć bez mej wiedzy. Długo nie mogłem zrozumieć, jak się to dzieje, aż przekonałem się, że Szymonek jest artystą i powoli zbadałem wszystko.

Tu przemysłowiec nagiął się do ucha hrabiego i długo mu coś szeptał. Pusty zrazu okazał zdziwienie, niepokój, wreszcie zerwał się i stłumionym głosem wyrzekł:

— Za parę tysięcy ma ginąć dwóch ludzi!

dłowi są nieco innego zdania. Uczony angielski i jego epigoni nie uwzględnili w swojej doktrynie całego szeregu faktów, w najwyższym stopniu zasługujących na uwagę. Lippert dotychczas zapisał może do dwóch setek arkuszy druku, ale nigdzie ani słowem nie zdradził znajomości takich poglądów, jakie spotykamy u naszego ludu co do strzygi. Ktoś mógłby to tłomaczyć, że podobne przesądy są nader nieliczne. A tymczasem rzecz się ma zgoła inaczej. Wiara bowiem, że człowiek posiada kilka dusz, należy do bardzo rozpowszechnionych, a może była jedyną niegdyś u pierwotnej ludzkości. Przyjrzyjmy się faktom.

Przestrzeń Ameryki północnej została dotychczas najsumienniej wyzyskana przez etnografów; wszędzie znaleźli oni tam przesądy, że człowiek posiada więcej dusz, niż jednę. Huroni, czyppewaje i in. wierzą, że każda istota ludzka ma dwie dusze. Jedna z nich odłącza się od ciała w chwili zgonu, przebywa w bliskości swego trupa, aż do ukończenia się stypy pośmiertnej — wtedy wędruje do świata duchów; druga natomiast pozostaje na ziemi i osiedla się w okolicy grobu, dopóki nie zdoła wejść do innego ciała, mniejsza, czy ludzkiego lub zwierzęcego. Podobne poglądy wyznają i inne plemiona czerwonoskóre, a nadto etnografia odkryła je u eskimów oraz karaibów z Ameryki południowej. Niektóre szczepy amerykańskie obdarzają istotę ludzką jeszcze większą ilością dusz; hidatsa np. nadają człowiekowi aż cztery dusze, algonkini — osiem. Przesądy amerykańskie powtarzają się w całej swojej rozciągłości po drugiej stronie Atlantyku—u murzynów. Zaznaczyć trzeba, że w Europie ani domyślano się dotychczas istnienia podobnych zapatrywań u murzynów, misyonarze bowiem, od dzieciństwa przyzwyczajeni do pojęcia o jednej duszy, przypisywali różnicę nieścisłości języka i oba jestestwa, rezydujące wewnątrz ciała, łączyli w jedno. Dopiero trzeba było wieloletnich a sumiennych poszukiwań A. B. Ellisa, ażeby wykryć rzeczywisty stan rzeczy. Badania jego objęły wybrzeże Złote i Niewolnicze. Tak np. murzyni z grupy lingwistycznej Tshi wierzą, że w człowieku stale przebywają dwie istoty. Jedna, *kra*, istnieje już przed jego urodzeniem, jako własność bardzo długiego szeregu ludzi, a po śmierci swego posiadacza będzie równie wiodła byt samoistny i poszukiwała jakiegoś nowonarodzonego niemowlęcia, ludzkiego lub zwierzęcego, ażeby w niem obrać sobie stałą siedzibę. Jeżeli nie uda się jej tego zrobić, jest bardzo nieszczęśliwą, wtedy bowiem tuła się po świecie i wyrządza różne psoty; niekiedy gwałtem usiłuje się dostać do cudzego ciała, zajętego już przez inną krę, a owocem tej walki są epilepsye i inne podobne stany. Kult, oddawany zmarłym, do niej się odnosi. Opuszcza ona ciało w każdej chwili, a kiedy to czyni, pogrąża się ono w stan senności; sny są jej przygodami. Inaczej zachowuje się druga istota, przebywająca również stale w ciele człowieka, *szahman*. Rodzi się ona wraz z poczęciem płodu i podczas życia odłącza się od ciała tylko w chwilach wyjątkowych, wywołując wtedy takie stany, jak katalepsyę lub letarg. Jeżeli zaś oddzieli się od ciała na zawsze, wtedy następuje śmierć. Szahman po dokonaniu obrzędów pogrzebowych nie szuka innego ciała, ale porzuca ziemię na zawsze i udaje się do świata duchów, gdzie żyje według wzorów ziemskich. Prawdopodobnie przesądy, jakie nasz lud wyznaje co do strzygoniów, są pozostałością podobnej wiary; jedna dusza udawałaby się do nieba, tj. do świata duchów, druga pozostawałaby w dalszym ciągu na ziemi. Ślady takich samych wierzeń odnajdujemy też u ludów półwyspu indochińskiego, u fidżyjczyków i w wielu innych zakątkach globu ziemskiego. Nie były one również obce światu klasycznemu, spotykamy nawet pogląd o posiadaniu przez człowieka aż trzech dusz, z których dwie giną wraz z ciałem, lecz trzecia pozostaje. Inne szczątki takiego przesądu odnajdujemy u stepowców mongolskich — w postaci nader charakterystycznej. Istnieje tam wiara, że dusza może przebywać stale po za ciałem ludzkiem, ukryta gdzieś daleko w tej lub innej postaci zwierzęcej, co zresztą widać i w klechdach naszego ludu. Otóż dusza ta nie koniecznie musi cała siedzieć w tem samem miejscu lub posiadać formę tego samego osobnika zwierzęcego, lecz jest upostaciowana w bardzo wielu okazach jednocześnie. Kobieta-łabędź np. posiada swoją duszę, rozkawałkowaną pomiędzy siedem ptaszków; umrze dopiero wtedy, kiedy ktoś zamorduje te wszystkie stworzenia. Koń bohatera Tesztjuka ma znowu 8 dusz, z nich trzy już umarły, inne jeszcze żyją i koń, lubo utracił dawną siłę, wciąż jeszcze trzyma się na nogach.

„W kraju Al Tajky — mówi opowieść o duszy Czojn Kulaka — znajduje się złote źródło; w tem złotem źródle żyje ryba żółtej barwy; we wnętrznościach tej żółtej ryby tkwi olbrzymie złote pudło; w złotem pudle leży inne, zrobione ze srebra, a w tem srebrnem znajduje się moja dusza — aż czterdzieści ptasząt!“ Bohater Tesztjuk, dowiedziawszy się o tej tajemnicy, dostaje duszę swego wroga, a chcąc go zgładzić, morduje 39 ptaków, z ostatnim zaś, czterdziestym, staje przed obliczem Czojn Kulaka, który wciąż jeszcze żyje. Kulak błaga o darowanie mu życia, ofiaruje mnóstwo złota i srebra, ale nieubłagany Tesztjuk nie słucha, urywa głowę ostatniej ptaszynie i Czojn Kulak natychmiast kona.

Wzięliśmy jedynie drobną garstkę faktów, świadczących, że w mnóstwie zakątków globu ziemskiego istnieje przesąd, który przypisuje człowiekowi posiadanie więcej niż jednej duszy. A pochodzą one z najrozmaitszych miejscowości; tu i owdzie istnieją jeszcze w całej swojej sile, gdzieindziej, jak u stepowców azyatyckich, ukazują się już w formie zanikającej, legendowej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dalsze poszukiwania etnograficzne podniosą jeszcze liczbę okolic, hołdujących temu przesądowi. Śród tych szczepów, gdzie wiara w kilka dusz jest bardzo silna, zbudowano odpowiednio całe pojmowanie żywej i martwej natury. Jak człowiek, podobnie też każdy przedmiot w świecie, otaczającym murzyna składa się, prócz widzialnej materyi, jeszcze z dwu innych części: ducha, który po zepsuciu danej rzeczy udaje się do kraju duchów, i sobowtora, tułającego się po ziemi, póki nie znajdzie odpowiedniego sobie przytułku. „Kra“ owcy np., po zabiciu zwierzęcia, wchodzi w jakieś nowonarodzone jagnię, duch zaś w kraju duchów służy za pokarm duchom ludzi. Wszystkie nieszczęścia, jak zwalenie się drzewa na przechodnia, porwanie pływaka przez nurty rzeki, człowiek przypisuje właśnie złej woli takich krów drzewnych, rzecznych i innych. Otóż zachodzi teraz pytanie, jak należy patrzeć na te wszystkie podania, czy jako na przesądy, nie posiadające głębszego znaczenia i nawskroś przypadkowe, będące już owocem tego, że myśl ludzka zaczęła urozmaicać i przekształcać zasadniczą ideę — o jednym sobowtorze? Atoli przeciwko takiemu przypuszczeniu oświadcza się mnóstwo faktów, oraz ich charakter. A może należy widzieć w nich przeżytki wcześniejszego stanu umysłowości? Co do nas osobiście, nie wahamy się ani chwili stanąć właśnie na takim punkcie widzenia. Wprawdzie nie wiemy, w jakim stopniu, jesteśmy wszakże przekonani, że niegdyś w daleko większym niż obecnie ludzkość hołdowała idei, iż pojedynczy człowiek posiada kilka dusz. Chodzi tylko o wytłomaczenie źródła takiego wierzenia i powodów, które skłoniły do przyjęcia go. Bardzo długo poszukiwaliśmy rozwiązania tej zagadki, ale wszystkie drogi okazywały się podejrzanemi. Znaleźliśmy je dopiero w surowym materyale. Człowiek dziki poddaje się

— Nie za parę tysięcy — odparł Bursztan — lecz za szachrajkę. W każdym razie musielibyśmy stanąć przed sądem; dla czegoż nie mamy skorzystać?..

— Czyż niema innej rady?

— Rady? Chyba taka, że hrabia trzeci raczy zasiąść na ławie oskarżonych.

Pusty drgnął. Uśmiechnięte kocie oczy przemysłowca piekły mu wzrok. Odwrócił się i gorączkowo zaczął przechadzać się po pokoju. Bursztan, paląc cygaro, rozparł się w fotelu i zmrużył oczy. Po chwili ozwał się.

— Nie psuj sobie krwi, hrabio: Bigulski jest występny, a chłopak głupi... zresztą żaden z nich nie zginie. Zdaj na mnie tę sprawę i śpij spokojnie.

— Nie zginie, pan powiedziałeś, więc jakże zrobisz?

Zresztą nic pan mnie nie mów, o niczem nie chcę wiedzieć!..

— Tak to rozumiem — rzekł Bursztan— a teraz podpisz ten oto szpargał i ruszajmy do teatru; panie zapewne już ubrane.

— Szpargał... co to znaczy?

— Nic; jest to rękojmia, że po skończonej sprawie hrabia zostanie mym zięciem... Na wypadek gdyby jakiś inny Bursztan zechciał wydać córkę za hrabiego Pustego... Nie cofaj się, hrabio, to przecie akt prywatny. Gdy wrócicie z Ewcią od ślubu, spalimy papier i popiół rozrzucimy na cztery wiatry.

Potomek słynnych rycerzów drżącą ręką podpisał.

Nazajutrz wieczorem pan Bigulski zgarbiony, blady wsunął się do gabinetu przemysłowca. Gospodarz, zamknąwszy drzwi, rzekł:

— Wiem, że postępuję wbrew sprawiedliwości, lecz przez pamięć na twego ojca, który był moim przyjacielem, nie mogę pozwolić, ażeby syn jego jak złoczyńca obciążony kajdanami, włóczył się po świecie. Czy masz paszport?

Bigulski pierwszy raz usłyszał o przyjaźni między p. Bursztanem i jego ojcem, to też podziękował niebu za tak szczęśliwą okoliczność i wyszeptał:

— Wszystko przygotowałem.

— Oto piętnaście tysięcy rubli — rzekł Bursztan, podając mu paczkę — bierz i zmykaj. Radziłbym do Ameryki. Kto jest tak zdolny, potrafi sobie radzić.

Bigulski drżącemi rękami uścisnął dłoń dobroczyńcy.

— Spłacam tylko dług przyjaźni — zauważył rozczulony Bursztan i odwrócił się.

Po chwili kasyer pędził na dworzec kolei.

* * *

W parę dni po opisanej scenie rozległa się straszna pogłoska: kasyer Towarzystwa wiatraków, zagarnąwszy około stu tysięcy, zginął bez wieści. W księgach rachunkowych wielu kart brakło, podpisy i liczby okazały się sfałszowanemi lub podrobionemi. Sędzia śledczy, dzięki przezorności p. Bursztana odkrył fałszerza: był nim pisarz Szymonek *).

---

*) Na tem przerywamy druk ustępów z powieści Brolisa. Dalsze losy Szymonka, który zraniony licznymi cierniami doszedł wreszcie do sławy utalentowanego rzeźbiarza, czytelnik będzie mógł poznać, gdy utwór ten wydany zostanie w całości. *Red.*

przesądom niewolniczo, tylko dlatego, że tradycya je uświęciła, ale przeciwnie, ile mu starczy sił umysłowych, rozumuje i stara się je usprawiedliwić w ten lub inny sposób. To samo uczynił i w dziedzinie wiary, że istota ludzka posiada dusz kilka; przytem podaje on zgoła inne powody, chociaż pokrewnej natury, kiedy przesąd występuje w odmiennej postaci. Zacznijmy od murzynów, zbadanych w tej mierze przez A. B. Ellisa. Podczas snu człowiek jest bezwładnym i traci wszelką świadomość; świadczy to, że coś zeń ubyło, tj. że „kra“ puściła się na swoje wędrówki po za ciałem. Atoli ta senność jest czemś zgoła różnem od bezwładności, która cechuje trupa; podczas snu człowiek jeszcze żyje, serce jego uderza, piersi podnoszą się i opadają, z ust wychodzi oddech i chrapanie, tymczasem u trupa nie spotykamy ani jednego z tych zjawisk. Jeżeli przeto sen stąd powstał, że coś wyszło z ciała, wtedy śmierć świadczy, że tym śladem poszło jeszcze coś więcej. A ponieważ to pierwsze „coś“ człowiek pojmuje jako istotę, przeto przypuszcza, że w ciele ludzkiem bytują dwie postacie. Tak tłomaczy rzecz mieszkaniec wybrzeża Niewolniczego i Złotego, kiedy pytamy go, czemu wierzy aż w dwie dusze; z takiego prawdopodobnie źródła powstały też przesądy naszego ludu o strzygoniach. Jak widzimy zatem, jest to dość racyonalnie zbudowane wyjaśnienie rozmaitości stanów fizyologicznych u człowieka.

Przejdźmy teraz do indyan mandanów z północnej Ameryki. Plemię to żyje dzisiaj w tej samej osadzie pospołu z innem, assinebojnów. Mandani wierzą w istnienie aż czterech dusz, ci zaś tylko—jednej. Z tego powodu powstają często pomiędzy sąsiadami sprzeczki filozoficzne. Dr. Matthews, któremu nauka zawdzięcza ładną monografię o mandanach, zanotował w swojej książce argumenty, przytaczane na obronę wielości dusz. „Idea ta tłomaczy im to zjawisko, że śmierć następuje zwolna, kiedy świadomość jeszcze istnieje, a kończyny już pozornie obumarły; przypuszczają oni, że cztery dusze wychodzą jedna po drugiej nie w tym samym czasie. Kiedy śmierć już nadeszła mówią, że wszystkie cztery dusze wyszły i znowu zlały się w całość po za ciałem gdzieś w przestrzeni.“ Ten sam charakter noszą na sobie legendy mongolskie. Ktoś posiada duszę wieloraką, złożoną aż z czterdziestu istot, z których każda wcieliła się w innego ptaka. Kiedy który z owych ptaków zostanie zabity, człowiekowi ubywa sił fizycznych, lecz żyje on wciąż, póki żyje chociaż jeden z ptaków.

Słowem, widzimy, że przesąd o wielości dusz jest odpowiedzią na mnóstwo kwestyj. Murzyn, wierzący w istnienie dwu, w ten sposób usiłuje wyjaśnić różnicę, spostrzeganą pomiędzy życiem na jawie, snem a obumarciem organizmu; mandanczyk, przypuszczający cztery dusze, w tej idei znajduje wytłomaczenie, że śmierć zabija nie odrazu, lecz nadchodzi zwolna; ta sama potrzeba występuje też u mongołów, usiłujących wyjaśnić powolne ubywanie sił.

L. Krzywicki.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Stefan Ramult. *Słownik języka pomorskiego czyli kaszubskiego.* Praca oznaczona nagrodą akademii umiejętności w Krakowie na konkursie imienia Lindego. W Krakowie 1893.

W stosunku do prac Mrongowiusa, Preisa, dr. Cenowy, Hilferdinga, Pobłockiego i zgasłego w r. b. Leona Biskupskiego dzieło p. Stefana Ramulta stanowi cenny dla piśmiennictwa naszego nabytek, zwłaszcza, że mowa kaszubów, ze względu na starożytność i bogactwo dźwięków, jest niezbędnym dla badań lingwistycznym przyczynkiem, bądź co bądź przyczyniającym się do rozjaśnienia wielu zawiłych dotąd kwestyj fonetycznych.

O ile widać z przedmowy, jest to zaledwie część I (stronic 298, w wielkim formacie in 8-vo). Spodziewać się należy, że wkrótce wyjdzie część II, a może i III, jeżeli zebrany przez p. R. materyał do znacznych urośnie rozmiarów. Podnosząc wielką zasługę autora, pozwolimy sobie wyrazić kilka uwag co do jego wniosków o początku i stanowiska kaszubszczyzny w rodzinie języków słowiańskich.

Wziąwszy za podstawę pewne właściwości dźwiękowe tudzież ruchomość akcentu, niezależną zgoła od poezyi, p. R. usiłuje wydzielić gwarę kaszubską z dyalektologii polskiej, wyznaczając jej odpowiednie miejsce, właściwe językom, będącym przedstawicielami pewnych grup odrębnych, względnie samoistnych, do których w Słowiańszczyźnie zachodniej zalicza: 1) czesko-słowacką, 2) polską, 3) sorabską czyli serbską, dzisiaj dolno i górnołużycką, wreszcie 4) pomorską, dzisiaj kaszubską. Wiadomo, że Szafarzyk dzieli ludy wygasłych słowian połabskich na plemiona: 1) obotryckie czyli bodryckie w Meklenburgii, Hanowerze i Holsztynie, 2) wilków czyli weletów albo lutyków na wyspie Ranie czyli Rujanie, Wineeie, w znacznej części Pomorza i Brandenburgii, tudzież 3) sorabów czyli syrbów w Saksonii, Misnii i w części Brandenburgii. P. R. wszystkich słowian połabskich grupuje w trzech gromadach, tj. w serbskiej i pomorskiej. Z tych druga odpowiada mniej więcej szczepowi wilków u Szafarzyka. O trzeciej obotryckiej nie masz u niego mowy, acz sam autor nadmienia, że „szczep bodrycki wyróżniał się, choć nieznacznie, od reszty pomorzan.“

Przystąpmy jednak do właściwego przedmiotu. Dla łacniejszego wykazania różnic między plemieniem polskiem a kaszubskiem, autor porównywa mowę tych organizmów etnograficznych. Porównanie takie jest nader pouczające, gdy atoli uwzględnia się nietylko przeszłość, ale i gwarnictwo, którego przedstawicielem jest właśnie język, mający być przedmiotem porównania. P. R. przeoczywszy gwary, jeno literacki język polski i to w dzisiejszej szacie ma na myśli. Inną i to wręcz przeciwną metodę widzimy u dr. Nadmorskiego *). Ten w uwagach językowych uwzględnia z jednej strony stosunek kaszubszczyzny do polszczyzny gwarowej, z drugiej zaś do połabskiego, tj. zamarłego narzecza bodrysów czyli obotrytów drewiańskich, tudzież do dyplomatów łacińskich, w których zachowały się ślady dźwięków mowy, żyjącej niegdyś w ustach słowian pomorskich, brandenburgskich itp. W wyniku metody p. R. nieobeznany z przedmiotem czytelnik dochodzi do wniosku, że samogłoska długa *a* jest obcą językowi polskiemu. Podobnież się rzecz ma co do wymiany *a* na *e*, grupy *ir*, następstwa *i* zam *y* po szumnych (sz, ż, rz, cz, dż), nosowych *u i*, grupy *ar* itp. Owóż zjawiska wymienione przez p. R. są znamionami nietylko kaszubskiego, ale i polskiego. Samogłoski długie nieściśnione należą do dawnego okresu dziejów polszczyzny. Ze zmianą akcentacyi, uległy one procesowi pochylania i stopniowego zaniku. Dzisiaj żyją gdzie nie gdzie w niektórych gwarach polskich. Grupa *ir* (wirzba) jest cechą wszystkich gwar i najdawniejszych zabytków polskich (w*i*rzba, p*i*rzwy, w*i*rzch, s*i*rzp, nawet s*i*rce w Kazaniach św. krzyskich z XIV w.). Następstwo *y* po szumnych (sz, ż, rz, cz, dż) zam. *i*, wytworzyło się wskutek stwardnienia tych szumnych, które będąc niegdyś miękkiemi, łączyć się mogły również z miękkiem *i*. Liczne ślady tego zachowały się w dawnych pomnikach językowych. W Biblii szarospatackiej czytamy: sz*y*sty. W Kaliskiem lud mówi: prz*i*ę (przez), prz*i*eto. Samogł. nosową *ų* (un, um) słyszeć można w gwarach wielkopolskich i w lubelsk. w Kurowie i Ponigwodzie. Nosowe *į* drga jeszcze pełnią życia w gwarze pisarzowickiej. P. Bauduin de Courtenay przywodzi z dawnego języka polskiego: *ą*, *ą̂*, *ą́*, *ǫ*, *ų*, tudzież *ę į*. Grupa *ar* nader obfita w pomnikach i gwarnictwie; np. t*ar*nyo (Bibl. szarosp.), b*á*rzo, b*á*rzy tj. bardziej (Kujawskie), b*ar*ęczyć (Ciechanowo), b*ar*szy tj. lepszy (Piotrków), d*ar*n (Garwolin), h*ar*ny (lubelsk.), j*ar*chać tj. kłócić się (Abramowice w lubelsk.), j*ar*chawo tj. niewyraźnie, j*ar*chawy, j*ar*chowaty tj. jąkała (Kurów), j*ar*gel = szmer, szwargot (lubelsk.), j*ar*gotać = skrzeczeć (Stoczek w p. łukowsk.), j*ar*molicha = stara baba (pod Lublinem), kw*ar*c = przedmiot twardy, ludowe kw*ar*dy (Kurów, Chmielnik w lubelsk.), m*ar*gnąć się = ruszyć się, m*ar*gocić się = brzydzić się, smucić się (łomżyńsk.), nach*ar*kać się = nakłócić się (lubelsk.), og*ar*ek = kaganek (Podlasie), pant*ar*ka = perlica (lubelsk.), p*ar*chać się, op*ar*chać się = parzyć się (Sędzimirowice w kalisk.), p*ar*ciak = spódnica płócienna (p. łukowski), p*ar*ciany = żołnierz kwarciany itp. Moglibyśmy przytoczyć wiele przykładów na *ar*, lecz dla braku miejsca uczynić tego nie możemy. Wyręczenie t. j. korespondencya *a* z *e*, w mowie ludu nierzadka: tr*e*fić zam. trafić, j*e*sno zam. jasno, di*e*baw, dieblica (dyabeł, dliablica), j*e*k zam. j*a*k, r*e*dzić zam. r*a*dzić itp. Tutaj nadmienić należy, że *e* zam. *a*, obfitszem jest w gwarnictwach południowo-kaszubskich od północnych, o czem jednak p. R. zamilcza; np. połudn. br*e*ło, mi*e*l, t*e*lko, w półn. br*a*ło, t*a*lko itp. Często znowu, odwrotnie, tam gdzie w północn. *e*, w połudn. *a*; np. *e*ni = *a*ni itp. Skłonność ta szczególniej widoczna w gwarze zakopiańskiej *); np. r*e*ba, b*e*dło, gospod*e*ni, d*e*m (dym) itp. Podobnież w mowie lachów cieszyńskich; j*ĕ*gła = igła, letanija = litanija.

Język kaszubski ma być potomkiem połabskiego; dlaczegóż różni się od tego drugiego w grupie ir, a zgadza się z polskim; np. w*ir*zba (wierzba), staropolskie i gwarowe w*ir*zba, połabsk. w*or*ba, str*o*na (strona), połabsk. st*a*rna, wr*o*ta, połabsk. w*a*rta lub v*o*rda, głód = glaad, glad, cz*er*wiony, połabsk. c*ar*wena (tzarwena) itp.? Zamiast szumnych cz, sz, ż, dż, zjawiają się w połabsk. c, s, z, dz. Są to zjawiska, które przemawiają na niekorzyść połabizmu kaszubskiego. Szczegółowe porównanie gwar kaszubskich z połabskim nie do nas, lecz do autora należy; dlatego zadawalamy się tu jeno wytknięciem niektórych różnic charakterystycznych. Hipoteza p. R. opiera się na zbyt kruchem rusztowaniu. Ma to narzecze zbyt wiele wspólnych z polszczyzną właściwości, do których szczególniej grupa *ir* należy. Połączenia takiego dźwięków w stosunku do połabskiego *or*, nie można nazwać naleciałością w kaszubszczyźnie; gdyż w skupieniach samogłosek z płynnemi język w upartej trwa zachowawczości. Gdyby w kaszubskiem było warba, wurba, wroba, wraba, wruba, wriba zam. wirba, wirzba, chętniej byśmy za połabskim początkiem glosowali i odrębne mu stanowisko wśród języków słowiańskich wyznaczyli, nie widzimy atoli cech ściśle wyróżniających się, a stanowiących np. znamiona charakterystyczne czeskiego, słowackiego, górno i dolno-łużyckiego. Sam akcent niewiele stanowi, bo jest zmienny. I w polskim akcent musiał być odrębnym od dzisiejszego, jeżeli niektóre samogłoski zanikły — np. wieliki zamiast wielki, łodzia, łodzija zam. łódź itp.

Słówko jeszcze o grafice autora. Znaki ò i ô na oznaczenie długiego *o* i dźwięku

*) *Kaszuby i Kociewie.* Poznań 1892.

*) Kryński, *Gwara zakopiańska.*

zbliżonego do niemieckiego ō, są zbyt zawiłe i mieszają pojęcie; azaliż nie lepiej wyrazić pierwsze przez ô, drugie przez o? Litery takie dla prostoty swojej nie wymagałyby nawet objaśnienia. Dla *dz*, *dż*, *dź* użyćby należało liter polskich, zamiast czcionki podobnej do cerkiewnego zemla; stosowniejszem byłoby kirylyczne dzieło. Czcionka ř wyrażać może czeskie i polskie *rz*, a nigdy kaszubskie, dla którego radzimy przyjąć ř.

Kończąc to sprawozdanie, winniśmy wyrazić wdzięczność autorowi, którego praca posiada wartość niepospolitą. W następnej części spodziewamy się bogatego słowozbioru. Sądzimy, że p. R. nie zechce już poruszać kwestyj spornych, bądź co bądź jeszcze niepewnych i trudnych. Po cóż wprowadzać nową nazwę języka pomorskiego i silić się na dowodzenie, czy dyalekt ten jest połabskim, czy polskim. Należałoby w takim razie zbadać czy i język polski nie jest potomkiem albo bratem gwar połabskich? Nam tylko faktów potrzeba.

Justyn Feliks Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. Władysław Rabski, *Asceta,* dramat w 3 aktach — Julian Morosz, *A kiedy ono nie takie.* Studyum z natury.

Rzadko wykwita na naszej niwie literackiej barwny i świetlejący promieniami myśli artystycznej autor. Rozgościło się tam panowanie krzykliwych a wichrowatych miernot, płytkich władców myśli, jednodniowych bojowników dążeń przebrzmiewających, głosicieli ideałów dnia ubiegającego, wartowników moralności codziennej, orędowników i popleczników spraw małej wagi i interesów chwili bieżącej. Zabagnienie życia, powierzenie sterownictwa płytkiemu, „zdrowemu rozsądkowi,“ krótkowzrocznej, zimnej rachunkowości, zwężenie widnokręgów duchowych, przetworzenie ideałów społecznych na kodeks paragrafów mądrości praktycznej — oto naczelne znamiona naszego życia społecznego. W koncercie tym odzywają się głosy, wciąż jednak ubywające ilościowo, zaściankowiczów duchowych, przedstawicieli dogorywającej szlachetczyzny starodawnej. Nie wszyscy jednak są stróżami postępu filisterskiego. Większe talenty pragną być apostołami prawd wielkich, przeniknąć w głąb społeczeństwa i wydobyć stamtąd ukryte sploty dążeń. Niestety, usiłowania takie wydają tylko połowiczne rezultaty. Czyż takie utwory, jak „Placówka,“ „Emancypantka,“ „U źródła,“ „Bene Nati“ są pochodniami, rozwidniającemi mroki życiowe? Czyż świetna i subtelna charakterystyka Anielki z „Bez dogmatu“ może być kluczem do zrozumienia i zgłębienia duszy nowożytnej kobiety, istoty tak złożonej, wielopierwiastkowej? Jeśli zaś powieści naszej nie można nazwać dobrą wróżką, rzucającą całe snopy promieni na widnokrąg stosunków, lecz co najwyżej kapłanką skromnego bóstwa, ku czci swego pana wykrzesającą iskry, migocące spostrzegawczością niełotną i płomieniejące ideami ciasnego pokroju, tem bardziej dramat nie może „dumnem czołem sięgnąć w obłoki.“ Dramat, komedya przeznaczone są dla widowni teatralnej, muszą więc odpowiadać upodobaniom ciżby inteligentnej i pseudointeligentnej. Pani to można i wszechpotężna w swej pospolitości. Pożąda ona jaskrawych szmatek, płytkiego i trywialnego wątku. Dobić się uznania mogą tylko autorowie ściśle przyzwoici, przez których wązkie i ciemnawe szyby duchowe przekradają się tylko słabe odblaski fal życiowych, lub też „artyści,“ puszczający balonik, wydęty pomysłami zużytymi i spospolitowanymi, jaskrawo migający przed ubogą wyobraźnią. Masa ta czasem uczęszcza na przedstawienia arcydzieł ludzkiego geniuszu, obcowanie jednak duchowe z nimi stanowi dla niej nadmierny wysiłek myślowy, nudzi ją i dławi. Na szczytach, dokąd prowadzi wielki talent, można dostać zawrotu głowy; daleko lepiej i przyjemniej przyglądać się światu z okien budy jarmarcznej lub też ze świątyni moralności patentowanej.

P. Władysław Rabski całkiem nie jest znany w naszej literaturze książkowej. Wydał podobno studyum w języku niemieckim o dramacie polskim, czytaliśmy też parę jego obrazków. W każdym razie „Ascetę“ można uważać za pierwszy jego występ twórczy. Treść nie przedstawia wątku, wyrwanego z pasma wysnuwających się dopiero stosunków i nie imponuje szerokością układu. Są to dzieje nieszczęśliwej miłości Maryi Walewskiej, sieroty, będącej pod opieką swej ciotki, pospolitej kwoczki, i Henryka Olińskiego, studenta teologii w Rzymie. Ciotka postanowiła wydać Maryę za Kaliskiego, aferzystę w gorszym gatunku. Uczyniła to pod wpływem jego usilnych nalegań i groźby, że w razie odprawy sprzeda dom, na którym posiadał dług. Marya przystała na tę propozycyę, nie widząc celu w życiu i mając poranioną duszę wskutek zawiedzionej, jak się jej zdawało, miłości. Nad Henrykiem zaciążyła surowa opieka jego stryja, Laszkowskiego, dzierżawcy probostwa, zacietrzewionego klerykała. Wychował on w swoim duchu siostrzeńca i zawczasu przysposabiał go do stanu kapłańskiego. Henryka widzimy pogrążonego w ascetycznej egzaltacyi. Powiada o nim jego przyjaciel — dr. Mulik — iż przeklina on kwiat róży, a cierń tylko kocha i niczego słuchać nie chce, prócz rozjęczonych nut mistycznej tęsknoty. Autor w chęciach swych i zamiarach wyposażył Henryka sporym zasobem duchowym. My widzimy tylko młodzieńca nader nerwowego, wyczulonego, z bojaźnią wielką uciekającego przed „pięknem ziemi,“ wiecznie spoglądającego ku niebu. Jest to typ zwyrodniały, ubezwłasnowolniony duchowo, uciekający się do zaparcia ascetycznego przed gorącą i gwałtowną miłością Maryi. Właśnie takie słabe natury, chorobliwie wrażliwe, uczuwają nieprzeparte pragnienie przytulenia się, korzenia się przed jakąś potęgą; usiłują zrzucić z siebie brzemię wszystkich trosk i oddać się komuś na łaskę i niełaskę. Wobec uwiądu energii „sensacye wiary“ najłatwiejszy znajdują dostęp i stać się mogą ciągłym, trwałym afektem. Dr. Mulik gorąco pragnie sprowadzić duszę Henryka z obłoków na ziemię, wypłoszyć z niej niezdrową egzaltacyę. Jest on wrogiem stanowczym teoryi, głoszącej o nieprzepartem przeciwieństwie duszy i ciała, natomiast twierdzi, że zmysły nasze to olbrzym, którego ujarzmienie z Tantalów cierpieniem się łączy. „Zgnieść go — powiada — a sarknie, a buchnie wściekłością, a może umrze wprzódy, nim kark twardy zegnie.“ Krańcowy spirytualizm, głoszący, że duch, to potężny czarnoksiężnik, który wszechwładnie nad ciałem króluje, a ciało — pigmejczyk, którego głos milknie trwożliwie na rozkaz mistrza, wiąże się przyczynowo z patologią umysłową i organiczną. Sojuszniczą gorliwą i inteligentną dr. Mulika była jego żona, Helena, bardzo wdzięczna i sympatyczna postać niewieścia, wyznawczyni zasady wolności duchowej, mówiąca o sobie: „mnie się duch helenów uśmiecha, promienny, swobodny i rozkoszny, jak ich świątynie.“ W domu Mulików odnowił Henryk znajomość z Maryą, która przypuściła szturm do jego serca. Zwróciła się doń z gorącą prośbą o szczęście dla siebie i dla niego. Zaliły się struny duszy Henryka, lecz cofnął się z lękiem świętobliwym przed taką pokusą. Miłość buchnęła na nowo płomieniem w duszy Maryi, jakiś szał ją ogarnął. Tymczasem nadciągnęła czarna chmura, brzemienna burzą i zniszczeniem. Kaliski, zaniepokojony plotkami, zażądał przyspieszenia ślubu. Marya, sterroryzowana moralnie przez ciotkę, przygnębiona zachowaniem się Henryka, chciała już przystać na wszystko. Dopiero stanowcze wdanie się Heleny przecięło pasmo jej wątpliwości.

Nie możemy drobiazgowo streszczać „Ascety,“ nie ma bowiem w nim rzetelnego polotu artystycznego. Powiedzieliśmy już, że Henryk nie był właściwie fanatykiem religijnym. Jest to raczej mistyk, na skrzydłach lirycznej tęsknoty unoszący się z tego padołu łez i grzechów ku niebu. Dusza jego kołacze do bram niebieskich, nurza się w lazurach, lecz skrzydła się kruszą. Egzaltowana w swej miłości Marya nie mogła przełamać jego mistycyzmu, nie zdołała tchnąć weń pragnienia życia ziemskiego. Oliński błaga Boga o przywrócenie tych lat ciszy anielskiej, gdy mu żadna burza duszy nie wichrzyła. W miłości dostrzega on tylko płomień zmysłowy, który żarem piekła pali duszę. Gdy Marya podążyła w nocy do domu Laszkowskiego dla zniewolenia Henryka, ażeby się jej oddał całkowicie, nic nie wskórała. Wysłuchała tylko całych potoków liryczno-rozełzawionych biadań. W rozpaczy zażyła truciznę i umarła w obsłonce patetyczno-tragicznej frazeologii. Przedostatnie jej słowa były: „Przecież to nie zbrodnia tak umierać. Gdy tygrys ku nam podskoczy, to wolno uchodzić przed zwierzęciem krwawem, a życie gorsze, niż tygrys. Nie gardźcie wy mną. Dąb silny, a piorun go łamie.“ Takich frazesów sporo znajdujemy w „Ascecie.“ Autor podjął dosyć ciekawy temat, siły mu jednak nie dopisały, zbrojownia jego talentu jest mało zasobna. Postać Maryi, artystycznie wykonana, świadczyłaby o jednostronnem wybujaniu życia psychicznego kobiety. Wszystkie jej popędy i uczucia ześrodkowały się w jednej dziedzinie— uczuć rodzinnych lub też miłosnych. Cała atmosfera społeczna sprzyja temu, ażeby ją uczynić „Genussmittel“ dla mężczyzny.

Nawiasowo zaznaczymy, że literatura nasza ubogą jest pod względem typów niewieścich, uosabiających współczesną „kobiecość.“ Ewolucyę z całym orszakiem rozdźwięków i wybujań tej „wielkiej narodowości“ — jak powiedział Heine — odtworzyła Orzeszkowa w paru postaciach i B. Prus w Izabelli („Lalka“), lubo ten ostatni typ nie jest całkiem konsekwentnie przeprowadzony. „Asceta“ jest poniekąd naśladowaniem „Niewinnych,“ a Marya odblaskiem Julii. Sympatye autora całkowicie skupiły się koło dr. Mulika wraz z jego żoną, Heleną. W nich widzi on uosobienie cnót obywatelskich, pogody umysłu, szerokiego spojrzenia na świat. Nie hołdują oni żadnym ciasnym formułkom i wszelkie dążenie do wypaczania i wykrzywiania życia jest im obce i nienawistne. Hela Mulik, sądząc z paru rysów pobieżnie rzuconych przez autora, posiada zadatki bardzo ciekawej postaci artystycznej. Rodzą się w niej instynkty energiczne z subtelnemi ideami. Nie jest ona spospolitowana duchowo, uczucia jej nie wypływają zmąconymi tonami, lecz dźwięczą czysto i harmonijnie. Nie należy wcale do kategoryi „niebieskich pończoszek“ lub też „esprits forts.“ Potrafiła wydobyć się z wiotkiej, zdradziecko jednak wikłającej przędzy uczuć i wyobrażeń buduaru lub bawialni i kuchni. Pozostałe figury są to zwyczajni statyści, niezbędni dla utworzenia tła, na którem wysnuł się dramat.

Młoda autorka, Julian Morosz (Cecylia Gładkowska), w chwili zgonu liczyła

dopiero 34-ty rok. Nie był to talent wielki i przez wązkie swoje okienko niewiele nam światła ukazał. Małe jego światło nie rozwidniło mroków życiowych; nie należy ono zgoła do płomieni długo gorejących, stanowiących ognisko wzruszeń artystycznych dla kilku pokoleń. Do piśmiennictwa autorka nie wniosła żadnych nowych pierwiastków, do skarbnicy idej i uczuć włożyła daninę dosyć ubogą. Była artystką słabą o skrzydłach nielotnych. Jako gorliwa zwolenniczka haseł postępowych, szerzyła je i walczyła w ich obronie. Tendencya więc zajmuje górujące miejsce, artyzm jest tylko służką, giermkiem nazbyt powolnym i niesamodzielnym. Żywy, bujny temperament musiał z czemś walczyć, walczyć porywczo i zapalenie.

„A kiedy ono nie takie“ jest ostatnim utworem Morosza i stosunkowo najlepszym. Napisany z werwą, z głębokiem przejęciem się wewnętrznem, ciska nam szmat życia, krwawy i świadczący wymownie o wielu jawnych i zatajonych wadach i nadużyciach spółczesnych. Na czele książeczki widnieją słowa Heinego: „Rodzina jest największem błogosławieństwem niebios, jeżeli tylko nie jest największem przekleństwem.“ Brzmią one dźwiękiem ponurym i stanowią właściwe godło dla tego przybytku gospodarczo-uczuciowo-wychowawczego. Przywodzą na pamięć ukryte cierpienia i bóle, zwichnięte istnienia, złamane i zagrzęźnięte w deptaku trywialnej codzienności dusze. Rodzina — wszak to ogród różany pracy i wzajemnego poświęcania się, widownia uczuć spokojnych i głębokich, jedyne schronienie, gdzie człowiek współczesny może być sam sobą, ukryć się przed uraganami i nawałnicami życia, wytchnąć i odpocząć moralnie, ćwiczyć prawie wszystkie swoje władze duchowe, częstokroć atoli jest ona żałobnem przykryciem dla wielu dążeń szczytnych, porywów ogólnych. Ziębi i zniekształca duszę, zabagnia umysł. W ognisku tem wiele uczuć poniewiera się, przedwcześnie martwieje i więdnie, wiele upodobań i wstrętów, pragnień i zamiarów, poglądów i uczuć zostaje nieodczutych i niezrozumiałych, lecz zgwałconych i pogrzebanych. „A kiedy ono nie takie“ kreśli dzieje wzgardzonego i poniewieranego dziecka, jedenastoletniej dziewczynki, prześladowanej srodze i katowanej przez matkę i dwie starsze siostry. Nusia była gnębiona od wczesnego dzieciństwa. O ile matka kochała namiętnie dwie starsze córki, o tyle ją nienawidziła. Urodzenie się jej zostało przyjęte bardzo niechętnie. Matka pragnęła syna; córka, młodsza o lat kilka — to kłopot. Trzeba osobno życie urządzać... Szczególnie Nusia była nielubiana przez matkę, dzięki uderzającemu podobieństwu do ojca. Męża zaś pani Ada bała się i całkiem nie kochała. Dziecko chowane było w zaniedbaniu zupełnem. Kiedy pani Ada zamieszkała w Warszawie, zaczęła posługiwać się Nusią i wkładać na nią różne obowiązki. Wkrótce weszło już w zwyczaj, że dziewczynka musiała ciężko od nocy do rana pracować, wypełniając masę posług i czynności. Matka wciąż widziała w niej stek wszelkich zbrodni, wciąż ją wstydziła brzydotą; siostry, wychowane w przekonaniu, że Nusia „nie taka,“ jak one, traktowały ją, jak niewolnicę, która wszystko znieść powinna. Goście z początku oburzali się na takie postępowanie, lecz potem przyzwyczaili się i uwierzyli, że mała jest jakimś potworem. Dziecko rosło z tą wiarą w swoją brzydotę, z przekonaniem, że ono „nie takie,“ jak inne dzieci, a przedewszystkiem „nie takie,“ jak siostry starsze. Nienawiść do tych ostatnich zapuściła głębokie korzenie w jej duszy. Panienki zajęły się nauką Nusi, wtedy to nastał dla niej okres najcięższych udręczeń, bezlitosnego i brutalnego pastwienia się. Nusia najbardziej nienawidziła Brońcię, najładniejszą ulubienicę matki, pieszczochę ludzi i świata, której los i życie było przeciwstawieniem jej losu. Stopniowo przejęła się myślą, że powinna zemścić się za siebie, a szczególnie za ojca. Myśl ta głęboko nurtowała w jej duszy i przybierała rozmaite kształty. Marzenia takie były jedyną sferą, gdzie czuła się panią samowładną i mogła prząść ubogą lecz jaskrawą przędzę dumań i uczuć. W kryjówce tej znajdowała ujście dla swoich sił duchowych.

Duch ludzki stanowczo nie znosi bezczynności moralnej. Czyja wina, że w tym wypadku pokarmem jego były tylko srogi żal i maniackie pragnienie zemsty dzikiej. Nusia często wpadała w stan ekstazy zemsty szalonej. Wówczas usta krwią nabiegały, drżały, rozchylały się rozkosznym uśmiechem, czarne oczy płonęły fosforycznie, cała twarz dyszała namiętnością. Twarz ta była wówczas twarzą kobiety dojrzałej, wypaloną namiętnościami. Dzieje takie nie mogły toczyć się łańcuchem stosunków jednostajnych, równomiernych; musiał nastąpić jakiś przełom. Katastrofa zaszła niebawem. Pani Ada, podniecona i rozgniewana raz na Nusię, w jakimś obłędzie krwiożerczym skatowała ją niemiłosiernie. Służąca wyrwała dziewczynkę z rąk rozszalałej matki, zaniosła do kuchni przywołała doktora. Wystąpił on z surowymi wyrzutami i nakazał dziecko odesłać do szpitala. Wezwano także narzeczonego Brońci, który był lekarzem. Matka i starsza córka nie chciały bynajmniej uznać swej winy i wszystko zwalały na kark tego potwora. Edward, narzeczony, pomieścił małą u siebie, starannie doglądał i pieścił. Skoro dziecko przyszło do przytomności, z zadziwieniem i niepokojem ujrzało nowe otoczenie, całkiem różne od poprzedniego. Gdy poznała na sobie bieliznę Maniusi, drugiej siostry, z krzykiem zaczęła ją zdzierać, wołając, że matka i siostry ją zabiją, gdy się o takiej zbrodni dowiedzą. Zatonęła w jakiejś cichej, zupełnie zrezygnowanej rozpaczy, chorobliwej melancholii. Poprostu żyć nie chciała i odrzucała konsekwentnie wszystko, co życie w niej podtrzymać mogło. Pod tą zewnętrzną powłoką lodową nurtowało głębokie rozżalenie, pragnienie zemsty. Ucieszyła się niezmiernie, gdy usłyszała, że Edward daleko więcej ją kocha, niż Broncię. Nakoniec odwieźli ją do domu. Tu nastrój się zmienił. Maniusia przywiązała się bardzo do młodszej siostry. W duszy matki tlała niechęć: gniew, uraza, ale wszystko to pomieszane z pewnego rodzaju obawą. Lękała się ponownego skandalu. Tylko usposobienie Brońci pozostało jednakie. Osypywała Nusię drwinami i szyderczemi wycieczkami. Stopniowo dziewczyna zaczęła odgrywać w domu ważną rolę. Znajomi dogadzali jej i pieścili, Edward był jej serdecznym druhem i opiekunem. W miarę tego rosło rozjątrzenie Bronki. Dopatrywała się ona w Nusi głównego źródła pomijania jej i stronienia ludzi. Pomiędzy siostrami wybuchła walka, zażarta i namiętna, o pierwszeństwo i przodownictwo. Brońcia walczyła zapalczywie, nie ukrywając swej podrażnionej ambicyi; Nusia natomiast w sposób wyrafinowany, z prawdziwym artyzmem, odsuwała od niej ludzi i wzbudzała coraz większą niechęć. Nareszcie nastąpił straszny wybuch. Brońcia od narzeczonego zażądała wyjaśnienia sytuacyi zobopólnej, doszło do gwałtownej utarczki. Edward, dotknięty głęboko cynicznem jej zachowaniem się, rzucił pierścionek zaręczynowy. Nusia, która wszystko to słyszała, nie mogła powstrzymać okrzyku tryumfu. Doprowadzona do pasyi, Bronka wymierzyła jej policzek. Nusia, która czekała tylko sposobności do zemsty, bryznęła w twarz siostry kwasem siarczanym, sama zaś wyskoczyła na dół z drugiego piętra.

Nusia, jej burze duchowe, ekstaza rozżalenia i zemsty — wszystko to zostało w powieści dobrze odczute i uplastycznione. Widzimy tu proces kurczenia się i zwyrodniania duszy. Ileż takich istnień zostało wypaczonych i powstrzymanych w swym rozwoju! Ileż gnieździ się w sercach dzieci rodzin inteligentnych zatajonych dążeń sponiewieranych, żalów bezdźwięcznych, pożądań nieświadomych, sztucznie pobudzanych lub gwałconych, uczuć bezmownych, lub ukradkowych!

Stefan Olenycz.

ODCZYTY.

Józef Kotarbiński, *Przyszłość sztuki i poezyi.*

Prelegent dwukrotnie przemawiał z katedry w sali ratuszowej w obronie sztuki i poezyi i przeprowadził szereg dowodzeń dla obalenia szerzącego się w ostatnich czasach pojęcia, iż ta dziedzina ducha ludzkiego nie ma trwałych podstaw. Renan i inni myśliciele wróżą poezyi zgon może w niedalekiej przyszłości. Gdy artyści będą zabytkami starzyzny, uczeni nabiorą znaczenia i potęgi. Czy rzeczywiście wobec przewagi tej królowej rozumu poezya i sztuka nie mają przed sobą przyszłości? Czy uczucie i wyobraźnia mają ustąpić badawczej pracy rozumu? Czy ludzkość ma się naprawdę wyrzec zachwytów i „złotych mar“ dla idei lub prawd oderwanych? Szereg tych pytań roztrząsał Guyau w swem dziele p. t. „Zagadnienia estetyki współczesnej“ (*Problemes de l'estetique contemporaine*). Te same pytania prelegent biorąc za punkt wyjścia, rozwinął i wypowiedział samodzielne poglądy. Myśliciel francuski stworzył odrębną teoryę piękna i sztuki, która w wielu razach nie zgadza się z ustalonemi przekonaniami Kanta, przyjętemi i uzupełnionemi przez ewolucyjną szkołę angielską. Podług filozofa niemieckiego, sztuka jest sobie sama celem. Spencer, opierając się również na zasadzie bezinteresowności poczucia piękna, wyprowadza źródło sztuki z zabawy, czynności igrzyskowych, gdzie człowiek zużytkowywa nadmiar swych sił żywotnych, zaoszczędzonych w walce o byt. Guyau we wszystkiem, co jest użyteczne, upatruje niższy stopień piękności. Według p. Kotarbińskiego, nie ma racyi bytu wyłączanie pożyteczności, a więc tendencyi z dzieł sztuki, gdyż przeczą temu fakty, szczególnie w literaturze. Zdaniem prelegenta, w drugą ostateczność wpada Guyau, wykazując pierwiastek estetyczny w potrzebach, żądzach ludzkich i czynnościach utylitarnych. Najważniejsze atoli teorye myśliciel francuski rozwinął w swem dziele p. t. „Sztuka rozważania pod względem socyologicznym“ (*L'art au point de vue sociologique*). Wbrew zasadom egoistycznym i utylitarnym, oparł on swoje twierdzenia na podstawie miłości i sympatyi powszechnej. Sztuka jest rdzennie społeczną, gdyż najwyższy jej cel stanowi wytworzenie wzruszenia estetycznego z charakterem społecznym. Teorya Guyaua nie ma w sobie znamion sekciarstwa. Musiał on być — powiada p. K. — nietylko myślicielem, ale i poetą.

Prelegent, rozpatrując wszelkie rodzaje sztuki i ich przemiany, zaznaczył ciągłe powstawanie nowych form na zgliszczach dawnych. Po epopei heroicznej zapanował romans, po tragedyi klasycznej — rodzaj sztuki, mieszczącej w sobie pierwiastki dramatu i komedyi. Całkiem słusznie prelegent w rozbiorze swym wziął sztukę nie oderwanie, lecz w zależności jej od ogólnych warunków życiowych. Pierwiastek demokratyczny, którym społeczeństwa nasiąkły, po za szeregiem nieprzyjaznych posiada sporo warunków korzystnie wpływających na rozwój pracy artystycznej.

Renan przyznaje sztuce charakter wyłącznie arystokratyczny, twierdzi, że powinna być przywilejem małego kółka wybrańców ducha. Demokracyę zaś, żywioł przeważający, uważa za klęskę dla cywilizacyi. Sztuka, zniżając się do grubych pożądań tłumu, do płytkich zamiłowań, staje się sama mizerną i płytką. Są atoli niższe szczeble z tej dziedziny ducha, które zadawalają masy i wytwarzają kadry pracowników, odpowiadających potrzebom tłumów.

Pewna grupa pesymistów twierdzi, że wielką szkodę sztuce może przynieść także wzrost demokracyi, jako formy politycznej, która niweluje ludzi, sprowadza powszechną mierność, a więc — sprzeciwia się wyższości geniuszu, który jest z natury swej arystokratycznym. Egoizm gromady ludzkiej, tamujący wzrost geniuszów — zdaniem Nietsche'go — jest jedną z głównych klęsk cywilizacyi współczesnej. Te zbiorowe dążenia rozwijać się będą coraz silniej nadal, a więc można przypuszczać, że sztuka wogóle się zniży, a w niektórych działach zaniknie. Renan przepowiada upadek muzyki i poezyi. Niektórzy znowu twierdzą, że te dziedziny ducha i twórczości jego nie idą w parze z nauką. „Muzyka jest to sztuka młoda — powiada p. Kotarbiński — odrębnie rozwija się dopiero od dwu lub trzech stuleci. Troska o jej wyczerpanie podobną jest do obawy młodego małżonka, który w pierwszych tygodniach pożycia myśli, czy też jego żona nie będzie nudna na starość.“ A poezya? Czy rozwój techniki wpłynie na jej zanik? czy po zagładzie ruin, pierwotnych urządzeń, po wszechwładnem zapanowaniu techniki i wogóle rozwoju życia gromadnego, wyrażającego się w zbiorowem działaniu i masowem dążeniu, poezya zastygnie na zawsze? Może prężność pary, łoskot maszyn tłoków i młotów, wrzenie stali w piecach, ziejących morzem światła oślepiającego, czarne, oblane potem, znużone postacie robotników, błyskawiczne przenoszenie ludzi z jednego krańca świata na drugi, przesyłanie głosu ludzkiego do antypodów — może to wszystko znajdzie także potężnych piewców w mowie wiązanej. Już dziś mamy próbki w tym zakresie.

Posłuchajmy, co Asnyk powiedział w obronie poezyi:

„Ta trumna, którą do grobu składacie,
Zawiera tylko kształt jej już przeżyty;
Uwiędłe kwiaty na jej ślubnej szacie,
Woń znikającą, lutni dźwięk rozbity...
Wolno wam płakać po kochanki stracie,
Co w was młodzieńcze budziła zachwyty,
Ale nie wolno narzekać, że ona
Dla serca ludzi na zawsze stracona...“

Ani demokratyzacya społeczeństwa, ani wszechwładne zapanowanie nauki i najwyższy rozrost techniki nie zniszczy w głębi duszy ludzkiej tkwiącego pierwiastku piękna, tych porywów, które ożywiają oschłość życiową, jak również żadne strychulce gromadne nie zabiją indywidualności jednostek niepospolitych, które swoim umysłem i twórczością działać będą na masy. Temu nie zaprzeczy nikt, kto się zastanowi nad warunkami powstawania geniuszów i ich naturą oraz ten, kto w duszy najbardziej nawet zmateryalizowanej nosi głęboko ukrytą iskrę piękna. To też szczera wiara p. Kotarbińskiego w trwałość i potęgę sztuk pięknych całkiem jest logiczną. Nie wnikamy w to, jakim subtelnym przeobrażeniom ulegnie z czasem owa dziedzina ducha, to pewna, że ona nie zniknie przed zagładą rodu ludzkiego.

Zen. Piet.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Nowy rodzaj ewolucyi umysłowej. — Gimnazyum. — Rezygnacya prezydenta.

Gdyby zapytać nowoczesnego raka, jakim sposobem ze świeżych fal rzecznych dostał się w sitowie sadzawki, odpowiedziałby niechybnie: „Zmianę tę zawdzięczam mojej umysłowej ewolucyi, która mnie tu zaprowadziła.“ Umysłowa ewolucya! Czegoż dziś pod nazwę tę nie podciągają! To też „Chochlik,“ przejęty odwagą raka, który akrobatycznych, a dobrze wszystkim znanych ruchów nie zawahał się nazwać „ewolucyą,“ postanowił pójść w jego uczone ślady, tem snadniej, że powodzenie przemawia na korzyść raczego chodu. I, nauczywszy się frazesu o tej umysłowej ewolucyi, p. Włodzimierz Zagórski wstępuje „między proroki“. Oczywiście, że ci, którzy stoją na straży wszelkiego rozwoju, tj. strzegą, aby on ich spokoju nie mącił, na gruncie swoim gościnnie przyjmują nowego sprzymierzeńca. Pod fejletonem „Czasu“ widnieje podpis Włodzimierza Zagórskiego. Nie tu miejsce zastanawiać się nad przyczynami, które skłoniły tego autora do zapisania się w szeregi stańczyków, tem bardziej, że sam on uważa przebytą „ewolucyę umysłową,“ jako swoją własność, z której nikomu sprawy zdawać nie widzi potrzeby. Podróże kształcą człowieka — pisze — a dziesięcioletni pobyt mój w Warszawie zmienił z gruntu optykę mego postrzegania. Pominęlibyśmy fakt ten milczeniem, gdyby w „optyce postrzegania,“ p. Zagórskiego nie tak zabawnie przedstawiała się kwestya bardzo poważna, a niedająca zbyć się kilku płytkimi frazesami, podjętymi z bruku paryskiego. Poseł Okuniewski, zastanowiwszy się widać rzetelnie nad niskim poziomem rozwoju i oświaty kobiet galicyjskich, postawił na Sejmie wniosek założenia jednego przynajmniej gimnazyum żeńskiego na Galicyę. Ukończenie takiej szkoły da kobiecie możność obrania sobie zawodu, który podstawę jej bytu ekonomicznego ustali i zapewni. Że gimnazyum jest potrzebą, że Okuniewski projektu z palca nie wyssał, że natomiast pierwszy w oczy zajrzał konieczności i o uwzględnienie jej starać się postanowił — jest prawdą niezbitą. Wiadomo nam, że wniosek jego poparty został przez tysiące podpisów, tak mężczyzn jak i kobiet, że więc słowa czcigodnego posła donośnem echem rozbrzmiewają po całej Galicyi. Pleśń nie zdołała jeszcze całkowicie wyniszczyć instynktu samozachowawczego wszystkich warstw społeczeństwa galicyjskiego. A instynkt ten domaga się swobody w rozwoju kobiety. Zdawałoby się, że to kwestya tak prosta, tak zrozumiała i tak sympatyczna, że na śmiech lub opozycyę napotkać by chyba mogła — u zulów. Tymczasem, nieprawda, P. Zagórski bierze się za boki i śmieje, śmieje się z szalonego projektu Okuniewskiego do rozpuku. Gdyby przynajmniej śmiech był jedynym jego argumentem, to by Chochlikowi wybryki dobrego humoru od biedy wybaczyć jeszcze było można. Ale nie, gamy śmiechu przeplata on uczonem dowodzeniem: kobieta ma o 128—239 gramów mózgu mniej, aniżeli mężczyzna *); czaszka jej zbliżoną jest do dziecięcej; im doskonalszą jest rasa, tem wyżej stoi mężczyzna od kobiety; kobieta w roli mężczyzny będzie zawsze bardzo podrzędnym mężczyzną. Rywalizacya musi się dla niej skończyć klęską itd. Tylokrotnie odpowiadano na takie, a nawet i na dowcipniejsze argumenty, że wystarczy wyrazić zdziwienie, iż p. Zagórski w roztrząsaniu kwestyi społecznej posługuje się zużytą, donkiszocką bronią. Ale mniejsza o to. Być może, iż zsuwając się po szczeblach drabiny rozwojowej — na dół, o argumenty powyższe trącił i skrzętnie je do wiadomości podał. Gdzie jednak, jakiej sferze mieszczaństwa galicyjskiego, bo emancypacya kobiety jest kwestyą mieszczaństwa — p. Zagórski spotkał kobietę pracującą, walczącą o byt i pragnącą dzielnie wychować dzieci, a odzywającą się o wyzwoleniu niewieściem w te słowa: „En v'là des embêteurs! Je m'fiche d'en et je m'carafâte du reste! Zabieracie mi dzieci do szkoły, nie dajecie mi spełniać mego posłannictwa, a teraz przychodzicie z równouprawnieniem. Chacha-cha! Nic z tego! Zamknę się w mojej krynolinie, jak w fortecy, będę się przesadzała w niedorzecznościach... Ohé les autres! Vive la crinoline! Ma to być protest kobiety XIX wieku przeciw mrzonkom utopistów! Tak się broni samica przeciw zadawanemu jej gwałtowi! Być może, iż p. Zagórski tak się już stał naiwnym, że pojęcia o kobietach naszego wieku czerpie z książek p. Estei... W takim razie szczerze mu radzimy, aby zechciał się zastanowić nad poglądami i potrzebami tych, które sprawić sobie krynoliny nie mają za co...

*) Jednym z najlżejszych był mózg słynnego matematyka Gaussa, Gambetty i... najzawziętszego nieprzyjaciela równouprawnienia kobiet — Bischoffa. Ostrzeżony losem tego ostatniego niech p. Z. ubezpieczy się, ażeby po śmierci jego mózgu . .nie zważono. *Red.*

Jak słusznie przewidywaliśmy, Szlachtowskiego „zrezygnowano.“ Równocześnie, jakby na osłodę, za energiczne zwalczanie cholery, otrzymał szlachectwo, t. j. tytuł „rittera.“ Dobrze charakteryzuje przeciwcholeryczną działalność byłego prezydenta popularny tu obecnie krakowiak:

Zrobiono Ritterem
Prezydenta miasta
Bo w rapertach pisał
Kein cholera — basta!
Oj dana!

Istotnie, zresztą trudnoby było orzec, na czem jeszcze polegała działalność p. Szlachtowskiego w stosunku do cholery...

Dnia 24 b. m. obrać mają nowego prezydenta. Nie ulega prawie żadnej wątpliwości, że urząd ten oddadzą Antoniemu hr. Wodzickiemu.

Ferropar.

LIBERUM VETO.

Konwersya Listów ziemskich. — Zdradzone tajemnice zamożności. — Zamaskowani bogacze. — Wpływ tej operacyi na uczucia i dążenia szlachetnej młodzieży. — Kilka jej typów najbardziej zainteresowanych. — Zwekslowane uczucia. — Ruch heraldyczny w odpowiedziach redakcyi. — Występy pp. Reszków i mdłości recenzentów — Zagraniczne poświadczenia talentów naszych artystów. — Nierozwiązana zagadka. — Głosy słodko-elegancko aksamitne.

Skonwertowaliśmy tedy około 80 milionów rubli Listów ziemskich, przyczem zdradziły się tajemnice nadzwyczajne i przez nikogo niepodejrzywane. Mianowicie z „baraniemi skórkami“ stawili się w kasach i bankach: żebracy, przewoźnicy, sklepikarze, woźni itd., którzy przybywali tłumnie i składali do zamiany po kilkadziesiąt tysięcy rubli, podczas gdy „sportsmeni,“ złota młodzież, arystokraci, właściciele pięknych koni i jeszcze piękniejszych utrzymanek, gracze totalizatorów i resurs, a nawet „jaśnie panowie“ z pałaców wiejskich skąpo znosili swoje

„oszczędności.“ Widokiem tym byli szczególnie zajęci kandydaci na zięciów, którzy wyzyskali tę znakomitą sposobność dla zoryentowania się w położeniu, komuby najkorzystniej sprzedać mogli swój szyk, herb, „piękne imię“ i tym podobne klejnoty. Jak nam opowiadano, jedni z nich przyglądali się konwertującym przez okna kas bankowych, drudzy, roztropniejsi, przesiadywali całymi dniami w biurach Towarzystwa kredytowego, badając uważnie, kto i jaką sumę przynosił do zamiany. Skutkiem tego pewien przewoźnik, uciekając przed deszczem, wpadł pod rynnę. Przewożąc na Saską Kępę rozmaite wesołe towarzystwa i czułe pary, którym pozostawiał w swej łodzi zupełną swobodę, uciułał sobie sto kilkadziesiąt tysięcy rubli, które włożył w Listy i chronił przed ludzkiem okiem z obawy, ażeby przyjaciele go nie zrabowali. Ale co uszło uwagi złodziejów, nie mogło ukryć się przed wielbicielami posażnych panien. Dzięki konwersyi posiadacze „pięknych imion“ dowiedzieli się o bogatej córce przewoźnika, która nagle ujrzała się otoczona rojem konkurentów. Nie myślcie jednak, ażeby oni karetami zajeżdżali przed jej dom i składali wizyty we frakach. Tego by im nigdy nie darował jej ojciec, na którego padłoby zaraz podejrzenie, że ma pieniądze. Nie, oni tymczasem jeżdżą ciągle z nim na Saską kępę, starając się wprzód zaskarbić sobie łaski ojca, zanim oblegną córkę. Podobno nieraz wozi on ich po dziesięciu w swej łodzi, nie domyślając się jeszcze, czemu zawdzięcza tylu i tak suto płacących gości.

Trudniejsza sprawa z jakąś żebraczką, która skonwertowała 30,000 rs. Córki nie ma, a sama, pomimo oświetlającego jej czcigodne oblicze $4\frac{1}{2}$ procentowego blasku, wygląda tak nieponętnie, że nawet najbardziej wyrozumiały konkurent nie czuje w sobie odwagi do zaofiarowania jej swego serca.

Jakikolwiek zresztą skutek mięć będą zabiegi w tym i innych wypadkach, nie ulega wątpliwości, że konwerya Listów ziemskich oddziała głęboko na nasze stosunki posagowo-zalotnicze i dokona w nich głębokiego przewrotu. Wiele dawnych płomieni serca zgaśnie i wiele nowych się rozpali. Zrazy szlachetnych odmian i nazw — jakby powiedział ogrodnik społeczny — zaszczepią się na innych podkładkach, a z tego uszlachetnienia dziczków wyrosną drzewa może nie piękne i nie płodne, ale oporne na mrozy — losu. Bądźmy sprawiedliwi i nie potępiajmy zbyt pospiesznie łowców posagowych. Zważmy bowiem, kim oni są. Jeden z nich urodził się z herbem: ośla głowa w zielonem polu, a przyszedł na świat w tej nieszczęśliwej chwili, kiedy jego ojciec posiadał już tylko tę głowę i to pole, a wszystkie inne utracił. Naralnie potomka sławnego rodu i dziedzica pięknego imienia nie pokalano żadną nauką, żadną zdolnością do pracy, natomiast zobowiązano go, ażeby klejnoty familijne przechował w należytej czystości i blasku. Zadanie to niełatwe. Żeby przechować garniec wódki lub kawy, trzeba mieć odpowiednie naczynie, a cóż dopiero klejnot rodowy, wymagający kosztownego futerału? Takiem naczyniem, takim futerałem jest posag żony — w ostateczności mniejsza o to, czy zebrany z przewożenia gości łódką na Saską Kępę, czy z lichwy, czy z handlu drzewem; złoto nie rdzewieje, więc nie pokrywa się plamami swego pochodzenia. Drugiemu kandydatowi do ożenku przeszłość nie obciążyła w kolebce ramion brzemieniem obowiązków, ale na przyszłość powołała go do wielkich celów. Posłannictwo to zrozumiał on bardzo wcześnie, gdyż w młodości już uczuł nieprzezwyciężony wstręt do nauki i pracy, a zarazem nieprzeparty pociąg do założenia nowego świetnego rodu. Drżał na widok modnego ubrania, świeżych rękawiczek, pierwszych rzędów krzeseł w teatrze, eleganckiego powozu, wystawy ciał półświatka itd. Daremnie ojciec, gospodarujący na kilku włókach lub wypiekający bułki, odciągał go od tych wzniosłych marzeń i wpychał do szkoły; daremnie ubłagani nauczyciele zniżali miarę swych wymagań przy przejściu z drugiej klasy do trzeciej; olśniony swoją ideą młodzian nie chciał się ruszyć z trzeciej, z której go nareszcie wyrzucono na pole wyższych przeznaczeń. Po długiej walce zaczął je spełniać: częścią z bilardu, którego kule były dziwnie posłuszne jego geniuszowi, częścią z kart, w których omyłki fortuny umiał zręcznie poprawiać, częścią z pożyczek, zaciąganych u kolegów, częścią z kredytu u szewców i krawców, którzy naprzód bezczelnie upominali się o swą należność, a potem zrozumieli, że powinni ją ofiarować dla przyspieszenia wielkości bohatera — czerpał on soki życia, aż wyrósł jako wspaniały kwiat, otwierający swój wonny kielich ku konstelacyi Panny bogatej.

Innych typów tego gatunku opisywać nie będę, gdyż bez trudu odnajdziecie je łatwo. Znane one są pod nazwami: złotej młodzieży, szykowców, kpów, eleganckich epuserów, głupców, mistrzów salonowych, pasorzytów, dziedziców pięknego imienia, durniów itd. Otóż śród całej tej rzeszy konwersya Listów ziemskich wywołała ruch niezwykły i w niejednym wypadku skierowała ich dążenia społeczne na odmienne tory. Tu zerwali znajomość z kapitalistą, który przed 20 maja nie miał żadnego interesu do Towarzystwa kredytowego ziemskiego, tam zawiązali ją z przewoźnikiem lub sklepikarzem, który musiał ujawnić swoje 5-procentowe oszczędności. Jasność we wszelkich stosunkach jest bardzo pożądana. Dzięki konwersyi najszlachetniejsza część narodu nie potrzebuje teraz błąkać się w poszukiwaniach panien bogatych i nieraz wpadać w pułapki. Jakże często bowiem elegancki młodzian, mający wszelkie prawa do 50 lub 100,000 posagu, oszukany pozorami majątku papy, oświadczał się o jego córkę i dostawał... „przyzwoitą wyprawę.“ A pamiętajmy, że takich niecnych oszustw żaden kodeks nie karze i że one nie pozwalają swym ofiarom spełniać wielkiej misyi uszlachetniania społeczeństwa. Nie musi zaś ona być dla niego małoważną, jeżeli tyle pracy, starań, krzywd, łez ludzkich składa się na t. zw. oszczędności ojców i posagi córek, tj. na uprzyjemnienie życia zięciów z herbem oślej głowy w zielonem polu lub czarnego karalucha na białej mące.

W kilku pismach warszawskich rubryka „odpowiedzi redakcyi“ jest od pewnego czasu przepełniona objaśnieniami heraldycznemi. Ci chcą wiedzieć, jaki posiadają herb i jakim rodzinom on służy, tamci radziby znać jego wizerunek, inni proszą o doniesienie, jaki mają przydomek lub proklamę — słowem, objawiła się nadzwyczajna ruchliwość w uporządkowaniu „totomów“ rodowych. Długo nie mogłem odgadnąć przyczyny tego zjawiska — dopiero z konwersyi padł mi na nie promień pożądanego światła. Ludzie bardziej przewidujący, spodziewając się, że ona wskaże punkty ciężkości sercom młodzieńców, szukających dla swych klejnotów bogatej oprawy, postanowili je wydobyć z zapomnienia i oczyścić z kurzu. Odmówiłbym sobie wszelkiego daru proroczego, gdyby w jesieni lub karnawale nie pomnożyły się znacznie ogłoszenia z sakramentalnym wykrzykiem: „szczęść Boże młodej i dobranej parze!“ Jeżeli zaś wróżba moja się sprawdzi, to przyznacie, że wobec powyższego rezultatu zyskanie $\frac{1}{2}$ procentu na opłacie rat Towarzystwu będzie korzyścią nikłą, a 3 miliony rs. kosztów konwersyi — stratą niegodną uwagi.

Reszkowie... Jan... Edward... słabo mi! Co za elegancya! Jakie frazowanie! Ratujcie... ginę... nie, nie ratujcie, bo ginę z błogości. Ach, ten Jan... ach, ten Edward... ach obaj! Niebo otworzyło się przed nami i ukazało wszystkie rozkosze raju... To nie Jan, nie Edward, to bezimienni oblubieńcy duszy mojej... Przestańcie śpiewać, wy czarodzieje, bo umrę z zachwytu!.. Och, jakże serce zmęczone miłością...

Przypuszczacie zapewne, że powtórzyłem tu uniesienia jakiejś histeryczki. Nie, streściłem krytyczne uwagi naszej prasy o występach pp. Reszków. Usłyszawszy ich, wydała ona szereg okrzyków, których czytelnicy musieli zapewne wołać: wody, wody, bo recenzent mdleje! Rzeczywiście mdleli. Rozumie się, jak zwykle w takich stanach, żaden z nich nie miał siły ocenić głosu pp. Reszków, a sądząc z niektórych, mniej przytomnych uniesień, możnaby nawet zwątpić, czy oni wogóle śpiewają, czy tylko „frazują,“ czy odtwarzają piękności opery Gounoda („Romeo i Julia“), czy uroki tragedyi Shakespeare'a. Oddawna przywykłem do tego, że moich ziomków w najwyższy entuzyazm wprawić mogą tylko aktorzy i śpiewacy. Zdawało mi się jednak, że oni urażeni lekceważeniem ze strony pp. Reszków, którzy śpiewając we wszystkich prawie stolicach Europy, ani razu nie raczyli wystąpić w Warszawie, do której corocznie przyjeżdżali na wyścigi, że — mówię — ci moi ziomkowie co najmniej zachowają pewną miarę w swej ekstazie. Gdzie tam! Właśnie doszli do najwyższego jej szczytu. Jeszcze raz więc sprawdziła swą słuszność zasada wszystkich polskich artystów, którzy twierdzą, że trzeba naprzód zdobywać sławę za granicą i długo omijać swój kraj, jeżeli się chce mieć w nim uznanie. Przed paru laty, spotkawszy w Wiedniu pewnego słynnego muzyka, rzekłem do niego:

— No, chyba już pan masz dosyć wawrzynów austryacko - francusko - angielskich, ażeby do nas przyjechać.

— Nie — odparł — brak mi jeszcze amerykańskich.

— Te już zbyteczne.

— Dla dwu części słuchaczów i prasy wystarczyłyby, ale ja chcę, ażeby sławili mnie zgodnym chórem wszyscy.

— Po co ta próżność dla pańskiego wielkiego talentu?

— To nie próżność, ale zabezpieczenie się przeciwko temu, ażeby ktoś nie powiedział, żem pęcherz wydęty reklamą przez kilku fabrykantów, dostarczających fortepiany na koncerty.

— Więc kiedyż pan będziesz zupełnie zaasekurowanym?

— Wtedy, kiedy nie będzie w świecie cywilizowanym ani jednego kraju, któryby mi nie bił oklasków. Wtedy wystąpię w Warszawie i nikt mnie nie sponiewiera.

To samo zrobili pp. Reszkowie. Gdyby byli nie dali tyle lat na siebie czekać i daremnie prosić, z pewnością żaden krytyk nie mdlałby wobec nich ze wzruszenia i każdy miałby odwagę mówić o ich głosie. Tymczasem dziś wszyscy opowiadają tylko o ich objawieniu się. Ukazali się i śpiewali — to dosyć.

Ponieważ nie umiałbym na korzyść żadnego śpiewaka poświęcić złamanego przy kasie żebra, a nawet kilkunastu rubli za krzesło, więc nie mogę przyczynić się do rozstrzygnięcia nierozwiązanej dotąd ścisłe zagadki: jakiej miary śpiewakami są pp. Reszkowie? W recenzyach wyczytałem tylko, że miary słodko-elegancko-aksamitnej. Licho wie, co to znaczy.

Poseł Prawdy.

JAK SIĘ U NAS PISZĄ OCENY MUZYCZNE.

Dziwny od pewnego czasu stosunek wytworzył się u nas między szczupłą garstką prawdziwie muzykalnej publiczności a sprawozdawcami wielu pism, codziennych i tygodniowych, prowadzących stale rubrykę krytyk teatralno-muzycznych. Napewno, jeżeli sprawozdawca tonie w powodzi słów, wyrażających zachwyt niebiański dla artystów lub utworów, inteligentny znawca mówi sobie: „nic ciekawego.“ Jeżeli krytyk cedzi pochwały półgębkiem, ów znawca dostrzega w artyście zasób niezwykłych skarbów talentu. Surowa nagana sprawozdawców naszych pobudza tych, którzy silniej interesują się ruchem muzycznym i mniej więcej przywykli porównywać wrażenia swoje z odczytywanemi od czasu do czasu wrażeniami recenzentów do bliższego zapoznania się z nieszczęsnymi, pogardą Zoilów napiętnowanymi adeptami sztuki. Co najczęściej bywa w podobnym wypadku? To, że ukształcony, a bezstronny, nie z piórem, papierem i drukiem do czynienia niemający znawca znajduje w upośledzonym przez krytykę artyscie materyał świetny, mówiący sam za siebie: nie ma stosunków, nazwisko jego mało jsst znane, krytyk zatem rozprawia się z nim szybko, odzierając go z marzeń i wiary w siebie.

Miasto nasze niewielkie. Łatwość zawierania pożądanych stosunków i znajomości sprawia, iż najczęściej debiutanci i debiutantki trafiają do krytyków i umiejąc sobie zaskarbić ich względy — wszyscy oni przeważnie są nader miękkiego serca— odnoszą zwycięztwo w prasie. Tym sposobem dzieje się, iż sprawozdawcy nasi stokroć pochopniejsi są do wygłaszania pochwał, aniżeli do wskazywania wad i skłonności bez względu na to, że umotywowanie pochwały, jeżeli chcemy uwolnić ją od cech zaraźliwego, a u nas niemal chronicznego „cielęcego zachwytu“, stokroć więcej przedstawia trudności, aniżeli usprawiedliwienie najsurowszej bodajby nagany.

Wystarcza tylko, aby popisujący się artysta miał pewność siebie i choć odrobinę sławy zagranicznej, a już rozdmuchujemy talent jego do niebywałej potęgi. Jedynie dwa nazwiska Michałowskiego i Barcewicza zdobyły sobie uznanie nasze bez przerabianych u nas niekiedy w sposób najdowolniejszy krytyk francuskich, niemieckich, włoskich, angielskich lub wreszcie — amerykańskich. Jak się to stało? Nie wiadomo. Tradycye bywają czasami dziwnie niewytłomaczone.

Zdarza się niekiedy wyszrubowanie swojskiego talentu w sposób niebywały bez reklam zagranicznych, trzeba wszakże po temu mieć urodę lub względy kilku redaktorów.

Panna Heller np., której nazwisko, podawane w garniturze tysiącznych wykrzykników zachwytu i uwielbienia, jak rybę w majonezie, codzień rano na pierwsze śniadanie oraz wieczorem na kolacyę, tak zbrzydło pewnej, niestety, niezbyt licznej garstce nierozhelleryzowanej publiczności, iż z rozkoszą wyczekujemy pewnej odmiany w „menu“ śniadań i kolacyi. Mira Heller, obdarzona wspaniałym sopranem o niezmierzonym woluminie, którego połowa zdaje się pozostawać w piersiach jej, gdy śpiewa, jest dopiero materyałem na pierwszorzędną śpiewaczkę, podczas gdy krytyka nasza uznała ją za taką bez zastrzeżeń.

Artystka ta ma talent wielki, lecz wymaga jeszcze pracy nad wyrównaniem i emisyą głosu, a przedewszystkiem — zdobycia tej iskry natchnienia, która, udzielając się słuchaczom, elektryzowałaby ich. Dziś śpiew jej, chwilami piękny i wspaniały, przechodzi bez najmniejszego wrażenia. Wysłuchawszy jej, nie czujemy się skąpani w tym zachwycie estetycznym, który daje zwykle „szczerość“ artysty; nerwy nasze nie drgają wraz z każdą fibrą śpiewaczki, gdyż przypuszczalnie ona nie doznaje drgań tych sama. Spełnia zadanie swe sumiennie, z pewnem nawet namaszczeniem, lecz nic po zatem: serce jej śpi, akcya dosyć misterna, robi wrażenie wystudyowanej sztucznie, głos nie płynie z naturalnem, wszechudzielającem się uczuciem, które, gdyby istniało, budziłoby niewątpliwie oddźwięk w pokrewnych uczuciach niezaślepionych słuchaczów.

Sprawozdawcy, parterowi oraz paradyzowi wielbiciele panny Heller tak daleco przyzwyczaili nas do bezwzględnego oklaskiwania jej, że zaledwie kilka osobników śmielszej natury odważa się jawnie wypowiedzieć bezstronne o talencie jej zdanie.

Tak samo dzieje się z fortepianistą Śliwińskim. Artyzm to blizko pokrewny, tylko bardziej skończony, doprowadzony do ostatnich granic rozwoju. Panna Heller ma przyszłość przed sobą, Śliwiński zaś wszedł już w fazę teraźniejszości. Trudno powiedzieć o nim, iż stanął na „martwym punkcie“ talentu, gdyż bywa tak tylko z miernotami, a on należy bezwarunkowo do sił pierwszorzędnych, osiągnąwszy technikę, która pozwala mu pokonywać najzawilsze utwory fortepianowe z takim olimpijskim spokojem. Patrząc nań w chwili, gdy instrument jęczy pod palcami jego, nie wierzymy prawie, iż to on gra i sądzimy, że tony płyną z powietrza.

Uchylamy przed nim kornie czoło, niestety, jak to jest w zwyczaju przed artystami, z których robimy półbogów, uznajemy wielkość jego, lecz — i tu brak nam tego ciepła elektryzującego, które rozchodzi się po nerwach i żyłach, stanowiąc najwyższą rozkosz estetyczną. Śliwiński gra zimno: ton nie drga pod palcami jego głębokością, siłą i polotem natchnienia. Frazesy wyraziste, jasne, czyste, dokładnie charakteryzują myśl, lecz nie uczucie kompozytora. I tu serce śpi, i tu słuchacz wychodzi zdumiony potęgą talentu, lecz nie przejęty, nie rozentuzjazmowany.

Większość krytyków naszych, tonąc w zachwytach nad „skarbami serca wielkiego fortepianisty, olbrzymim zasobem uczucia, polotem natchnienia, darem niemal jasnowidzenia intencyi, wyobraźni i woli kompozytora“, wprowadziła w zupełny błąd co do oceny artysty publiczność, urabiającą sąd swój muzykalny według wskazówek, otrzymanych w druku.

Jednego ze sprawozdawców uderzył widocznie chłód gry Śliwińskiego, nie śmiał wszakże wypowiedzieć tego głośno i wrażenie swoje ograniczył do słów, iż „artyzm wielkiego fortepianisty cechuje trzeźwa, imponująca, godna podziwu i uwielbienia *logika*.“

Obałamucona publiczność, zamiast kształcić smak swój estetyczny, zatraca go powoli. Szczupła garstka prawdziwie inteligentnych i samodzielnych znawców, nie jest w stanie zwalczyć szkodliwego wpływu recenzentów, którzy, mając za sobą potęgę magiczną druku, nie przestaną nigdy oddziaływać na opinię ogółu.

Przeważna część krytyk naszych robi wrażenie zlepka wyrazów, powyciąganych ze słowników muzycznych, niekiedy stanowiących mieszaninę niemożliwych bzdurstw i niedorzeczności. Najczęściej — dla przysporzenia ilości płatnych wierszy— pisze się historyę powstania i wprowadzenia na scenę lub estradę ocenianych utworów, następnie — krótki zarys biograficzny głównych ich wykonawców, na zakończenie daje się mozajkę słów, słów, słów.

Zbliżyliśmy się do wielkiej, niebywałej dla nas chwili. Po długich latach wyczekiwania, w ciągu których pisma nasze wciąż próżno kokietowały dwóch rodaków, bohaterów z nad Sekwany, powtarzając skrupulatnie każde echo ich sławy, każdy otrzymany oklask, interesując się nimi, jak gdyby z losem ich był związany los całego kraju naszego — po długim szeregu łagodnych, lekkich, bojaźliwych wyrzutów za omijanie nas ustawicznie w artystycznych swych wędrówkach, osiągnęliśmy wreszcie cel marzeń: Bracia Reszke zawitali do nas, ukazali nam się jeszcze, zanim gwiazda ich chwały nie zagasła. Na wzór siostry, ś. p. Józefiny z Reszków Kronenbergowej, zaznaczyli czyn ten sowitą ofiarą, przeznaczając honoraryum za każdy występ (w ilości 1,500 rs. jednorazowo) na cele użyteczności publicznej. To też pisma nasze rozbrzmiały jednolitą fanfarą, szykując się do wysłuchania braci — śpiewaków, jak do uczty godowej. Ruch przed teatrem w dzień pierwszego ich występu, wyraz niespokojnego oczekiwania, wyryty na twarzy każdego szczęśliwca, który z biletem w kieszeni podążał na forum wielkiej uroczystości, zdradzały coś niezwyczajnego zdawało się, że wielkie święto panuje w mieście. Tłum radował się, że 10,000 rs. zostawi na ołtarzu wielkości i chwały „genialnych współbraci.“

Ma się rozumieć, iż nazajutrz po występach Reszków krytycy nasi wygłosili na cześć ich jeden wielki hymn pochwalny.

Najpoważniejszy, najuczciwszy, najgruntowniejszy z nich pisze o Janie Reszke:

„Głos jego nie imponuje siłą, ale jest to jeden z najsympatyczniejszych tenorów, jakich słyszeć można, zdolny do wyrażenia wszystkich uczuć, od najtkliwszej pieszczoty do groźnego wybuchu i w chwilach siły dający śliczne *b* i *h* śmiało i jasno. Ale u takiego mistrza, jakim jest pan Jan. o *głosie prawie się nie mówi. Jest, bo jest potrzebny, ale służy on tylko jako środek, nie jako cel.*“

Czy to nie żarty? Więc od śpiewaków nie wymagamy głosu, chodzi nam tylko o piękną dykcyę, o świetną deklamacyę, o grę bez zarzutu. Jakie żądania zatem postawimy artyście dramatycznemu?

Oto mamy kazuistykę w całem znaczeniu tego słowa.

W powodzi ogólnych uniesień, jakim poddaje się z konieczności każdy, co, zdobywszy z uszczerbkiem dla najkonieczniejszych potrzeb życia prawo uczestniczenia w uroczystości, czułby się najnieszczęśliwszym w świecie, gdyby nie umiał wmówić w siebie oczarowania i zachwytu, po tysiącznych tłumnych owacyach trudno wypowiedzieć zdanie, prawdziwie bezstronne, zwłaszcza jeżeli ci, których oceniamy, mają za sobą sławę *zagraniczną*.

Bracia Reszke stanowią bezwarunkowo typ artystów o wysokiej inteligencyi, wielkiem zrozumieniu celów i zadania swego. Sumienność ich, drobiazgowość w obmyśleniu najmniej znaczącego szczegółu, wytworność i dokładność w wykonaniu każdego frazesu muzycznego, zasługują na wielkie uznanie i winny zwrócić uwagę każdego przeciętnego artysty, dbającego tylko o główne efekty kilku kulminacyjnych punktów gry. Jan Reszke, który, według sprawozdawców muzycznych, czarował wykonaniem Romea i Fausta nawet samego Gounoda, ma wszelkie dane po temu, aby rzeczywiście być uroczym, czarującym kochankiem. Piękny, o wspaniałej pełnej wdzięku postawie, wytworny w każdym ruchu, od pierwszej chwili pojawienia się swego na scenie wywołuje skończone, zupełne wrażenie estetyczne. Kostiumy jego stylowe, misternie obmyślane noszą na sobie cechy tej staranności, z jaką artysta dobierać musi wszelkie szczegóły dla zespolenia ich w jednolitą, historycznie prawdziwą, estetycznie piękną całość.

Staranność, drobiazgowość, sumienność doprowadza pana Jana Reszke niekiedy aż do przesady, jak np. w scenie balkonowej z Julią i w ostatnim akcie konania, w którym akcya cała jest nieszczera sztucznie obmyślana i nie wywołuje na widzu wrażenia porywającego, jakie osiągać po-

winien artysta, mniej myślący o efekcie i pozie, a bardziej dający się unieść prądowi natchnienia.

Wytworna szkoła w dobywaniu głosu i deklamacya bez zarzutu wynagradzają panu Janowi R. ujemne cechy głosu, pewne zamglenie, *zawoalowanie*, mówiąc wyrazem technicznym, które każe przypuszczać chroniczną chrypkę artysty, zmęczenie lub też *prześpiewanie się*.

Ta właśnie ujemna strona tenora, nie uszedłszy widocznie baczności wzmiankowanego przez nas krytyka, spowodowała wzmiankę o tem, iż „głos u śpiewaka służy tylko jako środek, nie zaś jako cel.

Trwoga i czołobitność przed gwiazdami sceny jest tak wielka, iż najuczciwszym nawet odbiera trzeźwość sądu.

Pan Edward Reszke, obdarzony olbrzymim, metalicznie brzmiącym basem, nie ma tej bezkrytycznie czystej emisyi i tego zaokrąglenia, jakiem szczyci się barytonowy tenor jego brata: zdumiewa on potęgą i woluminem, głos niewyczerpaną falą płynie z piersi, nie porywa wszakże nie czaruje. W scenie, w której ojciec Laurenty w operze Gounoda hypnotyzuje niejako Julię, podając jej usypiający narkotyk, próżno oczekiwaliśmy efektu, jaki wydobywał niegdyś Seideman, a po nim — Sillich. Scena ta, w której bas prowadzi ponure opowiadanie na tle smętnego akompaniamentu wiolonczeli, krotka lecz wymowna, przeszła prawie bez wrażenia, czego jednak żaden z krytyków naszych nie ośmielił się wyznać.

Zaszczyt odbierania hołdów wespół z Reszkami przypadł w udziale p. Stromfeld-Klamrzyńskiej. Trudno, zaiste, o bardziej skończony artyzm, o głos bardziej miękki, słowiczy, któremu nie przeszkadza nawet niezbyt silne jego, pełne pieszczotliwego wdzięku brzmienie.

Nie mając za sobą fanfary sztucznych reklam, nie zwiastowana publiczności po dwakroć na dzień jako gwiazda i chwała sztuki, pani Klamrzyńska własnym talentem swoim, własnym śpiewem, któremu nic zarzucić nie można, zdobyła sobie względy publiczności i poszanowanie krytyki, która, nie szafując dla niej słownikiem zwykłych banalnych, raz na zawsze przyjętych a odmiennych jedynie w stosunku do okoliczności okrzyków zachwytu, musiała wszakże uznać pracę, szkołę, artyzm utalentowanej, drobiazgowej nad wyraz śpiewaczki.

O pani Klamrzyńskiej, z powodu występów jej wraz z braćmi Reszke, pisze jeden z dzienników, iż „dostraja się ona umiejętnie do ogólnego tonu," to znaczy — że nie psuje ani jedną nutą fałszywą duetów, śpiewanych z Janem R.

Na taką jedynie pochwałę zdobył się sprawozdawca dla artystki, która całem zachowaniem się swojem zdradza, iż nie pragnie bynajmniej dzielić hołdów gwiazd nadsekwańskich.

Skromność u nas nie popłaca nawet i wówczas, jeżeli się ma uznanie za granicą.

Trzeba, przedewszystkiem, wydymać samym, nakształt balonów, reklamy zagraniczne, aby następnie dęły w nie nieustannie mieszki recenzentów i reporterów.

Selika.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Sprawy rolne. P. Stanisław Chaniewski w sekcyi rolnej poruszył nie nową ale bardzo żywotną dla ziemian sprawę gospodarstw ekstenzywnych i intenzywnych. U nas istnieją jedne i drugie, ale oba rodzaje najczęściej są prowadzone w sposób krańcowy, a więc rabunkowo albo kosztownie. Ścisłej granicy między jednem a drugiem przeprowadzić nie można; co w miejscowości X. jest ekstenzywnem, w Y. może już być intenzywnem i odwrotnie. Wogóle u nas przy drożyznie kapitału, dość nizkich warunkach kulturalnych i braku odpowiedniej siły fachowej przeważa kierunek ekstenzywny. Powolne, stopniowe dążenie do intenzywności bez przesady i zbytniego pośpiechu, umiejętne stopniowanie melioracyi i stosowania najpilniejszych, najmniej nakładu wymagających, wreszcie umiejętne wogóle unikanie przesady — to jest szereg przepisów, zalecanych przez p. Chaniewskiego dla wzmocnienia gospodarki rolnej. Całkiem to racyonalna metoda lecznicza, podobna do tej, którą się stosuje do wycieńczonego chorobą organizmu ludzkiego. Zbyt silne środki odżywcze mogą sprowadzić nową chorobę i śmierć. Nasi rolnicy wbrew powyższym ostrzeżeniom umieją się uciekać bądź do środków znachorskich, bądź też do przepisów, wskazywanych przez naukę, ale zrozumianych mylnie. To, co p. Chaniewski doradza, już nie po raz pierwszy słyszymy: pozyskanie kapitału obrotowego i gruntownej wiedzy, to pierwszorzędne potrzeby. Częstsze atoli przypominanie tych rzeczy nie jest zbytecznem. Również bardzo ciekawy przedmiot dla rolników obrał p. Bolesław Rugiewicz: organizacya rolnictwa w Niemczech i wystaw rolnych. Rozwój tej gałęzi przemysłu jest tam oparty na szerszych, niż u nas podstawach: wytwórcy łączą się w liczne stowarzyszenia, które pozwalają przeprowadzić takie zadania, jakie są niedostępne dla jednostek, nawet przy największem wytężeniu sił. Najwybitniejsze są trzy stowarzyszenia centralne, rozciągające czynność swoją na całe państwo: „Rada gospodarcza w Berlinie," „Kongres rolników niemieckich" i „Niemieckie Towarzystwo rolnicze." Ostatnie miało w 1885 r. 3,000 członków, obecnie zaś liczy ich 8,000. Staraniem tej instytucyi tworzy się obecnie wystawa w Monachium pomiędzy 8 a 15 czerwca. Referent z tego powodu doradza naszym rolnikom zbiorową wycieczkę, na wzór odbytej przed dwoma laty do Pragi czeskiej. Wytwórcy rolni w Niemczech przypisują wielkie znaczenie takim wystawom, a więc każdy z nich, kto tylko może, zwiedza je, aby się czegoś nowego nauczyć i natychmiast w praktyce zastosować. Sekcya poparła projekt p. Rugiewicza i wyraziła gotowość przyjmowania zapisów osób, które zechcą pojechać na powyższą wystawę. Przy tej sposobności poruszono sprawę urządzenia wystawy rolniczej w Warszawie, o czem p. Natanson na przyszłem zebraniu miesięcznem da odpowiednie wyjaśnienia. Jeszcze przed miesiącem poruszono kwestyę stworzenia specyalnej delegacyi dla zbadania warunków uprawy roślin handlowych i aptecznych. Obecnie jeden z uczestników narad, p. Leppert, wyjaśnił, że tego rodzaju rośliny w przemyśle zastąpiły znacznie produkty laboratoryjne, a więc głównie należałoby się zająć roślinami handlowemi (rzepak, cykorya, chmiel, mak). Pożądane jest dokładne zbadanie (według wniosku p. Kłobukowskiego), jakie jeszcze i w jakich ilościach rośliny aptekarskie są sprowadzane z zagranicy. Do delegacyi zaproszono wnioskodawcę, p. Jurskiego, tudzież pp. Karpińskiego i Wrońskiego. Na ostatniem posiedzeniu ustalono również delegacyę buraczano-cukrowniczą.

— Dla uregulowania ruchu towarów zbożowych na kolejach, ministeryum komunikacyi postanowiło sporządzić za lata ubiegłe, oraz na przyszłość układać stale mapy szematyczne ciążenia towarów zbożowych do każdego z portów, tudzież punktów granicy lądowej na zasadzie sprawozdań miesięcznych wydziału statystycznego tegoż ministeryum. Z pomocą tych map układane będą tablice graficzne, oznaczające ruch towarów zbożowych na każdej kolei w oddzielnych miesiącach. W okresie powiększonego ruchu szczegóły zbierane będą codziennie. Odpowiednio do tych danych, departament kolejowy będzie mógł regulować ruch i zapobiegać powstawaniu zaległości towarów.

— Z rozporządzenia zarządzającego ministeryum dóbr państwa, departament rolnictwa i przemysłu wiejskiego zawiadamia instytucye i osoby, mające potrzebę zasięgnięcia wiadomości co do eksploatacyi torfu, że po wskazówki tego rodzaju należy się zwracać do wzmiankowanego departamentu, który mając w swojem rozporządzeniu specyalny wydział badania torfu, postara się o dostarczenie wszystkich niezbędnych wyjaśnień w razie potrzeby i o delegowanie na miejsce specyalistów w celu obejrzenia torfowisk. Dla tego też należy dostarczać próbek torfu, zarówno wziętych z powierzchni, jak i pewnej głębokości torfowiska. W tymże departamencie mogą być zaczerpnięte wiadomości o zbadanych już skarbowych pokładach torfu, które mają być wypuszczone w dzierżawę dla eksploatacyi.

— Do ministeryum skarbu wniesiono podanie fabrykantów z okolicy Dąbrowy Górniczej, oraz Sosnowca o utworzenie filii Banku państwa w mieście powiatowem Będzinie.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. *Prawit. Wiest.* zamieścił rozporządzenie o nazwaniu fortecy Dünamünde — twierdzą „Ust' Dwinsk" tudzież o odpowiedniem przemianowanowaniu wszelkich instytucyi wojskowych w Jurjewie (Dorpacie), Dwińsku (Dynaburgu) i Ust' Dwinsku (Dünamünde)-

— Ogłoszono prawo o zniesieniu kary cielesnej dla kobiet zesłanych.

— Obowiązkiem ogrodników gubernialnych będzie czuwanie nad prawidłowem utrzymaniem szkółek owocowych i ogrodów przy szkołach ludowych oraz dopomaganie w tworzeniu ich wszędzie, gdzie się tylko zdarzy sposobność. Po za tem: zaznajamianie ludności z ogrodnictwem i sadownictwem, tworzenie latem kursów ogrodniczych dla nauczycieli wiejskich tudzież włościan, zakładanie szkółek owocowych i dostarczanie szczepów włościanom, wreszcie udzielanie rad osobom, zwracającym się po nie do owych ogrodników gubernialnych.

— Wkrótce pod Łodzią utworzona będzie kolonia letnia dla biednej dziatwy wyznania mojżeszowego.

— Z powodu iż dotąd w Królestwie niema wypadków cholery, pozwolono pobożnym odbywać pielgrzymki do Częstochowy.

Szkoły. Stosownie do przedstawienia tutejszej władzy edukacyjnej, ministeryum oświaty dozwoliło na wprowadzenie dodatkowych wykładów ogólnej terapii i weterynaryi sądowej przy katedrze zwyczajnej patologii i terapii warszawskiego instytutu weterynaryjnego.

— Zamierzono otworzyć kilka nowych instytutów agronomii i leśnictwa, a pomiędzy innemi w Kijowie lub Humaniu.

— W petersburskim instytucie leśnym, jak donoszą dzienniki miejscowe, ma być wprowadzony specyalny kurs pszczelarstwa.

— W progimnazyum pińczowskiem, w gub. kieleckiej, egzaminy wstępne do klasy 1-ej rozpoczną się w dniu 8-ym czerwca do klasy 2, 3 i 4-ej dnia 30-go maja.

— Ministeryum oświaty zaleciło przełożonym zakładów średnich tudzież dyrektorom szkół ludowych, aby nie pozwalali korzystać z ulgi kolejowej jednej osobie więcej niż trzy razy rocznie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wydało rozporządzenie, aby z powodu wzmagającego się dopływu uczniów i uczenic — żydów, do szkół felczerskich, dentystycznych, akuszeryjnych itd., ograniczono ich przyjmowanie normą procentową: w Petersburgu i Moskwie 3%, w guberniach po za obrębem zamieszkania żydów 5% ogólnej liczby uczniów lub uczenic.

— Przy gimnazyum żeńskiem w Płocku otwarty będzie po wakacyach pensyonat rządowy dla 30 uczenic. Opłata roczna rs. 200, kwartalna 45, z wyjątkiem 1-go kwart., kosztującego 65 rs. Oprócz mieszkania i żywności, uczenice korzystać będą z korepetycyi. Z dn. 13 sierpnia zamknięte będą wszystkie prywatne stancye dla uczenic tego gimnazyum.

Konkurs. Zarząd uniwersytetu warszawskiego ogłosił konkurs o nagrodę im. Adama Chojnackiego na dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu, p. t.: „O oszczędności, o kasach i stowarzyszeniach oszczędnościowych i pożyczkowo-oszczędnościowych." Nagroda 900 rs. Dzieło powinno być przedstawione najpóźniej d. 30 kwietnia 1895 r., napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego. Może być drukowane, albo przedstawione w rękopisie. Pozostawiono do uznania autora ogłoszenie drukiem nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim.

Sprawy kolejowe. Pociągi kolei Nadnarwiańskiej, rozpoczynające ruch od 13 lipca, w kierunku do Ostrołęki, dochodzić będą do samego Białegostoku z kwadransowym postojem w Łapach.

— Zarządzający wydziałem materyalnym na kolei Dąbrowskiej, p. Lachtin, został mianowany członkiem komitetu gospodarczego. Na miejsce p. Kopytowskiego, który przeniesiony został do Petersburga, mianowany został p. Krypski, naczelnik kontroli wydatków.

— Kolej Terespolska najbardziej zniżyła koszt przejazdu na sezon letni do pobliskich stacyj. Mianowicie ustanowiła bilety powrotne do Mrozów i stacyj bliższych ze zniżką do 50% bez ograniczenia owej ulgi do dni świątecznych i niedziel. Nadto pasażer z takim biletem może korzystać ze wszystkich pociągów, oprócz kuryerskich i pocztowych. Bilet może służyć na dwa dni.

Zdrowie publiczne. Na posiedzeniu komisyi fabrycznej warszawskiej (30 października r. z.), postanowiono, że fabryki liczące stu robotników powinny utrzymywać stałego lekarza, felczera i pokoje ambulatoryjne. Tymczasem — jak opowiada *Warsz. Dniewn.* — wielu fabrykantów fikcyjnie dopełnia tylko tego obowiązku, wyznacza bowiem bardzo nizkie wynagrodzenie lekarzom, którzy rzadko albo nawet wcale nie przychodzą do fabryki, przyczem nieraz obowiązki te poruczane bywają lekarzom miejskim oddziałowym, którzy z powodu nadmiernej liczby fabryk, wziętych pod opiekę, tudzież innych zajęć, nie mogą podołać obowiązkom. P. oberpolicmajster polecił organom swoim, aby zobowiązały właścicieli fabryk do faktycznego wypełniania przepisów. Nadto lekarze nadal będą mogli przyjmować fabryki pod opiekę tylko za każdorazowem pozwoleniem władzy. Wolno czuwać najwyżej nad trzema fabrykami i to w obrębie rewiru, w którym dany lekarz pełni obowiązki urzędowe.

Bibliografia. J. Norman Lockyer, *Pierwsze początki astronomii* (z ilustracyami), przeł. W. Skłodowski, str. 209, Warszawa.

— Dr. W. Ołtuszewski, *Szkic fizyologii mowy*, ze szczególnem uwzględnieniem alfabetu polskiego, str. 31, Warszawa, Wende.

— H. Wernic, *Elementarz o wszystkiem* (nauka czytania z obrazkami), Warszawa, Centnerszwer.

— M. Parczewska, *Obrazki*, str. 123, Warszawa, Paprocki.

— Dr. Otto Dornblüth, *Hygiena pracy umysłowej*, przeł. dr. A. Fabian, str. 88, Warszawa, Paprocki.

— Dr. B. Gutenberg, *Nerwowość i małżeństwo*, przeł. dr. L. Wolberg, str. 40, Warszawa, Paprocki.

— T. T. Jeż, *Ze wspomnień odeskich*, str. 55, Warszawa, Obuchowski.

— Dr. C. Credé i dr. G. Leopold, *Badanie położnicze*, krótki przewodnik dla lekarzy, studentów i akuszerek, tłom. dr. H. Rundo, str. 29, Warszawa. (Nakład łódzk. Tow. lekarsk.).

— D. Bączkowski, *Jutrzenka*, str. 60, Kijów, Koreywo.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny**.
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskej — rs. 3.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.
— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.
— **Niewinni**, dramat w trzech aktach — kop. 80.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.
N. Hirszband. **Byron w urywkach**, rs. 1. kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa — rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

DOSTAWCA GES. i KROL. DWORÓW
PATENTOWANY
„EXSICCATOR“
NISZCZY GRZYBEK DRZEWNY
OSUSZA WILGOĆ NA ZAWSZE ETC.
ADR. RITTER WARSZAWA
POTRZEBNI AJENCI
BROSZURA BEZPŁATNA

Nakładem naszym wyszła
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. med. L. Wolberga.
Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy“:

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI
(ilustrowana).

Cena rs. 2 kop. 40. z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI
z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera **50** piosnek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.
Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

WYSZŁA Z DRUKU KSIĄŻKA
L. Krzywickiego
LUDY
str. 432. Cena rs. **2** k. **50**, z przesyłką pocztową rs. **2** k. **80.** Nabyć można w Administracyi *Prawdy* oraz we wszystkich znaczniejszych księgarniach.

Spółka Nakładowa

zawiązana przez grono pisarzów polskich, ma na celu wydawanie dzieł pierwszorzędnej wartości naukowej i literackiej, oryginalnych i tłomaczonych, wzbogacających istotnie umysłowe zasoby kraju. W przekonaniu, że literatura stanowi ważny i trwały grunt do życia i rozwoju społeczeństwa, że mu dostarcza sił żywotnych. Spółka Nakładowa grunt ten w miarę swej mocy rozszerza nabytkami książkowemi rzetelnej i nieprzygodnej ceny. Dotąd wydane dzieła dość wyraźnie już określają kierunek i charakter jej przedsięwzięcia.

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.
Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2.
Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.
Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.
— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.
A. Okolski Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.
Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.
— Prewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.
Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.
Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.
Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.
Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, **Marszałkowska 95.**

Współpracownik nasz Brolis wydał zbiór swoich obrazków powieściowych p. t.:
MARZENIA,
w którym mieszczą się: Baśń mitologiczna, Jurgis Durnialis, Ibrahim, Z dziennika pesymisty.
Do nabycia w Administracyi „Prawdy“ i wszystkich księgarniach. Cena kop. 50, z przesyłką rekom. k. 64.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Мая 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.